

ALFRED SIATECKI

Przekłete wykopki



Przekłete wykopki

Wydawnictwo
Lubuskiego
Towarzystwa
Kultury

Zielona Góra 1986

ISBN 83-00-02807-0

Copyright by Alfred Siatecki, Zielona Góra 1986

Opracowanie plastyczne
Witold Michorzewski

57446/7

ISBN 83-00-02307-0
Copyright by Alfred Siatecki, Zielona Góra 1986

PRZEKŁĘTE WYKOPKI

Chciałbym mieć długie, czarne wąsy, jak Knast, i nic nie robić, jak Stacho Kopfla. Wieczorem poszedłbym do sklepu na piwo, w sobotę na zabawę do remizy, w niedzielę pojechałbym do kina, kupiłbym sobie kapelusz, jak Kopfel, byłbym sekretarzem albo jeszcze ważniejszym urzędnikiem. Nikomu o tym nie powiedziałem, nawet mamie, bo ojciec by się śmiał. Kiedyś spytałem go, czy na urzędnika trzeba się długo uczyć. Odpowiedział mimochodem:

— Dziś łatwiej być urzędnikiem niż dobrym gospodarzem.

— To ja będę urzędnikiem — stwierdziłem, a ojciec tylko się uśmiechnął i pokiwał głową.

Jeszcze nie tak dawno biegałem z chłopakami nad Starą Obrę, najpierw się kąpać, potem na rybobranie; wydaje się, że to było wczoraj, no, najwyżej w zeszłym tygodniu. Upalny koniec września, cały miesiąc szkolniakowania mam za sobą, ledwie miesiąc i już nie chce mi się chodzić do szkoły. Żeby w ciepłe dnię nauka kończyła się wcześniej, a w deszczowe dłużej szkolnikować, to co innego. W październiku dzień jeszcze długi, nie taki jak w czerwcu, ale jeśli ktoś chce, to i w październiku długo może ganiać za piłką. Nie-

kiedy z całą grandą chłopaków idę do lasu na grzyby, wieczorem, gdy ruch przed sklepem mniejszy, razem ze wszystkimi zrywam jabłka z drzew ocieniających gminną, to znaczy niczyją drogę. Kiedy się uczyć?

A tu jeszcze jeden kłopot spada na moją głowę: już się zaczęło kopanie. Kopanie w Bramsku to nie przelewka; za dwa dni nikt, nawet Kopfel ani listonoszka czy Śledź, nie wykopie połowy kartofli, trzeba się schylać tydzień albo i dłużej, a jak zanieś się zimnym deszczem, jest co robić do pierwszych śniegów. Często zastanawiam się, po co sadzić aż tyle kartofli. Tylko kłopot. Kopanie ciągnie się od wczesnych, chłodnych ranków do mrocznych wieczorów bez widoku na jego szybki koniec, a jeszcze w czerwcu trzeba zbierać stonkę do butelek ze słoną wodą. Lubię stonkobranie. Chodzę wtedy między rajkami, wpycham stonki do butelki po wódce, a potem tę stonkową zupę wylewam na rozmiękczony asfalt i ugniatam gołymi nogami na marmoladę. Ale kopanie jest najgorsze, przekłęte. Mój ojciec co roku sadi więcej; dla niego im więcej kartofli, tym więcej radości rozrzucanej w rozmowach z mamą i sąsiadami. W Bramsku każdy chce jak najwięcej zasiać żyta, posadzić kartofli, zebrać siana, nawet stary Kopfel wioka na konie, chociaż ledwie ciągnie nogi za sobą. Ojciec nie wie, że ciężko sadzić, on tylko chodzi za pługiem jak kogut za kurami po podwórzu i wyoruje bruzdy, a ja z mamą w te bruzdy wtykam kartoflaną krajanekę. Krzyż boli, w głowie się kręci, a ojciec tylko wyoruje i wyoruje bruzdy.

Może i dobrze, że jutro u nas kopanie? Mam usprawiedliwienie na cały dzień nieobecności w szkole. Pani zawsze zachęca nas do pomagania rodzicom i dlatego usprawiedliwia te pomagane dni. Dziś nie muszę odrabiać lekcji, bo i po co się męczyć? Jutro, za-

miast do szkoły z teczką, wyjdę w pole z koszem wiklinowym. Leży więc moja bezpańska teczka na krześle w kuchni, a ja się z tego bardzo cieszę.

— Jeśli książki są ci niepotrzebne, spal je w piecu! — krzyczy mama rozglądając się za kociubą. — Położyłeś je tak, żeby mi zawadzały. Widzisz przecież, że ruszyć się nie mogę!

Już od wczoraj mama piecze chleb na wykopkowe dnie. O, trzeba dużo chleba, na pewno ktoś obcy przyjedzie pomóc, a i każde z nas ma lepszy apetyt na dworze niż w domu. Osiem ogromniastych bochnów świeżutkiego chleba rozrzuca swój zapach po kuchni i tak już będącej spiżarnią jesiennych wonności. Wiejski chleb, nie jakiś długowaty, sklepowy zakalec, ale wiejski, okrągły, wygrzany pod pierzyną, to niczym szynka wielkanocna, smaczniejszy niż pomarańcze, nie tylko sytości i zapchu pełen, ale i dla zdrowia najlepszy. Tak mówił ksiądz na religii. Ale ja mu nie wierzę i wolę chleb sklepowy. Każdy bochenek mama wychucha, wygłaska, wyklepie palcami, że i nie ma miejsca na inne dodatki, a kiedy jeszcze ciepłotą ziośnie z pieca, mama maści bochny zimną, zwykłą wodą. Wtedy chlebuś świeci się bardziej niż moje trzewiki w niedzielę przed sumą, bo tylko w niedzielę muszę pucować swoje buty, w inne dnie mama nie patrzy na moje nogi.

Ojciec też ma zajęcie: szykuje kosze na kartofle. Wiosną wypłatał je na majątkowych łakach gdzie wiklina najlepsza. Gdy będę spał, ojciec weźmie latarkę i pójdzie do piwnicy wymieść śmieci, każdego roku tak robi, bo kartofle muszą leżeć na czystym klepisku. Piwnica duża, zmieszczą się w niej buraki dla cieląt, marchew czerwona i biała, rzepa, jeszcze zostanie trochę miejsca dla beczki z kapustą kiszoną; zawsze na zimę musimy mieć wielką beczkę kapusty, nie jakies

garnki ani nawet maselnicę, ale pełną beczkę, żeby starczyło aż do lata dla nas i na pożyczki.

W tym roku pogoda październikowa podobna jest do wrześniowej. Dojrzałe, wielkie, miedziane liście, prosząc jak płaty śniegu, grubym chodnikiem przykryły całą szerokość drogi, od lasu sosnowego aż do starego cmentarza, bo w Bramsku jest i nowy, już całkiem polski cmentarz, ale ja z chłopakami bawię się tylko na starym. Czasem naszą wieś oplączy spóźnione babie lato, a i słońce przygrzeje przypominając, że od niego wiele zależy. W taki właśnie czas zaczynają się dni wykopkowe. Skończyły się żniwa, była chwila przerwy na siewy i młockę, i znowu ruszył kierat zachłannych gospodarzy. Nie lubię wykopków ani młocki, niczego nie lubię, już wolę zbieranie stonki albo pasienie krów na majątkowych łąkach, bo to chłopaków dużo, rozpalamy ognisko i przypiekamy żaby.

— Wstawaj, Wituś, zaraz jedziemy w pole — przerywa mój najśłodszy sen już gotowa do wyjścia z domu mama.

Nie za bardzo mam ochotę tak wcześnie się zrywać, dopiero siódma, leżę pod wygrzaną i wielką pierzyną opatulony aż po głowę. Chciałbym jeszcze chociaż piętnaście minut, jeszcze kilka odechów wykonać pod tą leżącą na mnie lekką dobrocią. Mama jest uparta, nie odejdzie dopóki nie zobaczy, że wstaję i naciągam spodnie.

— Ubieraj się, synku, ubieraj — mówi ciepło, prosząc. — Przygotuję śniadanie, obaj z ojcem zjecie i jedziemy w pole. Późno już. Słojewski dawno pojechał.

— Staszek...?

— Staszek sam zostanie w domu. Za mały, żeby dźwigał kosze.

Teraz chciałbym być Staszkiem, nic bym nie robił, tylko się bawił i gryzł cukierki.

Mama poszła do kuchni, zrzuciłem spodnie i skończyłem pod pierzyną obok śpiącego Staszka. Ach, jakże uciecha w tym leżeniu i wygrzewaniu się. Już nie zamykam oczu, patrzę to w sufit, to na zegar i liczę czas: sekunda, i dwie, i trzy, i cztery; wskazówki budzika przyspieszają i pędzą, gonią jak oszalałe, ciągle do przodu, już dziesięć minut tak leżę. Przykrywam się dokładniej, prawie się opatulam pierzyną, czuję, jak coś idzie mną od nóg, dociera do głowy i każde przymknąć powieki, zginęła jaskrawa biel sufitu. Jestem urzędnikiem, nie muszę wcześniej wstawać ani schylać się po kartofle, ani chodzić do szkoły.

— Ja czekam na niego, a on? patrzcie ludzie! a on jeszcze śpi.

Już nie powtórzę tej sztuczki. Ubierając się słyszę pokrzykiwanie ojca na konie. To najlepszy bat na mnie, już zbytęczne mamine stróżowanie, szybciej! muszę jechać na wozie, po gospodarsku.

— Mleko ci wystygło i mnie zatrzymujesz — odpowiada udobruchana mama.

Jesienny ranek troszkę chłodny, jakby przymrozkiem przesiąknięty, chociaż na łąkach majątkowych nie widać szronu, ani ziemia stwardniała, ale czuję ziąb, kulę się. Rządkiem, równo telepiemy się przez wieś, furmanka za furmanką, cały Bramsk wyturlał się na drogę i w zgodzie podąży na pola za torami. Niektóre dziewczyny idą do szkoły, dobrze im tak; my, chłopcy, pokrzykujemy do siebie z wozów, każdy chce, by go dobrze słyszano i widziano. We mnie wzbiera się chęć do furmanienia, biorę lejce w ręce, ale ojciec wyrywa mi je, nie pozwala powozić.

— Dam ci lejce, a potem będę konie łapał w po-

lu. Jedziemy z kopaczką, Kara się spłoszy i kalectwa może narobić. Pamiętasz, jak Kopfel...?

Nie słucham, już nie chcę powozić, stoję na wozie i wyciągam rękę po jabłka zwisające z drzew nad naszymi głowami. Zrywam je i wrzucam do kosza na kartofle, niekiedy zamiast rumianego jabłka chwycę garść schnących liści albo sękatą gałąź. Przy drodze zatrzymują się wozy, potem każdy wjeżdża na swoje pole, ruch za torami podobny do targowego piątku, bo we wtorek mniej handlarek przychodzi na targ w Chłopimocie, tego dnia wszystkie wyjeżdżają do Zielonej Góry albo jeszcze dalej.

Jest i nasze pole, na nim kilka za długich dni schylania się po te małe, żółtobiaławe kawałki miękkich pieniędzy, jak wujek Władek nazywa kartofle. Poranny ziąb trochę mną trzęsie. Lada chwila powinien ustąpić i zginać na cały długi dzień w rzadkich, lecz jeszcze ostrych igiełkach słonecznej spiekoty. Liczę ludzi, najpierw swoich, dodaję ciotkę z wujkiem, każdego roku pomagają nam przyspieszać kopanie, potem kolej na ojca i mamę, pójdą pomagać ciotce, ale beze mnie, wrócę do szkoły. Nie lubię kopania, teraz też odwracam głowę, chwytam się za brzuch, patrzę, czy kopaczka nasmarowana. Niczego nie może wykoncypować moja łepetyna, tych kilka kropel pomysłu zostało się albo przymarzło do czaszki, próbuję przygryźć język, lecz i to nie pomaga. Zawsze siedziała we mnie chytrość, to po ojcu, jak śmieje się mama, zawsze szukałem najlepszej działki i patrzyłem, gdzie może być najmniej kartofli. Na złość sobie niczego nie umiem wypatrzeć, wszędzie las rudziejącej naciny, wyższej już od tegorocznej pszenicy, z której ojciec jest dumny, bo agronom pochwalił na zebraniu mojego ojca i Słojewskiego, nie wspomniał o Knaście ani o Śledziu, jakby o nich zapomniał.

— Brzuch mnie boli.

— Od jabłek — tłumaczy mama i odchodzi. — Mówiłam: nie jedz jabłek. Nie słuchałeś mnie, to teraz nie narzekaj.

Ojciec zaprzęgnął konie do kopaczki, na razie tylko próbuje maszynę, ale za chwilę ruszy i wtenczas zacznie się kilkudniowa udręka, którą przerwać może jedynie nagły deszcz. Mama i ciotka zakładają na siebie spodnie, podpasują się sznurkiem konopnym, i już są gotowe do schylania się. Wujek kończy ćmić sporta, ciotka jeszcze poprawia chustkę na głowie. Oni wiedzą, że trzeba przygotować się dokładnie, potem nie będzie czasu ani nawet na pójście w krzaki.

— Brzuch mnie boli — znowu mówię, lecz i teraz nikt mnie nie słucha.

Niczym parowóz zaczynający bieg, powoli wszyscy chwytają kosze wiklinowe, nasze przeznaczenia i przypisania jesienne. Ja nie, głowę wtykam w kołnierz kurtki, kulę się, żal i złość mną władają, teraz chciałbym iść do szkoły, odsiedziałbym swoje dwie-cztery godziny, a wieczorem ganiałbym po boisku za piłką. Gdy urosnę, nie będę pomagał, zostanę urzędnikiem.

Jak wiosenne żaby w nadobrzezańskich bagnach skrzeczą szory na tłustych grzbietach końskich. Ojciec radośnie wymachuje batem, bo to dopiero początek kopania, i pokrzykuje: — Wio! Wio, małe! No, wio! Wio, Kara! Wio, Kasztan! Wiśta! Konie nie są głupie, rozumieją te rozkazy, krok po kroku, jakby nabierały rozpędu rwą przed siebie w biegu rozrzucając redliny. Kartofle rozsypują się po piaszczystym polu, och! jakie wielkie, niczym głowy kapuściane. Spoglądam na swoje ręce i zastanawiam się, czy te ręce, małe, drobne, są do podnoszenia kartofli.

— Na początku przy samej drodze zbiera Wituś

— dyryguje mama. — Ja pójdę pod las, a wy oboje rozdzielcie między siebie środek. Chyba dobrze podzieliłam? — pyta śmiejąc się, bo od dawna wiadomo, kto i gdzie zbiera.

Przy samej drodze najlepsze miejsce, wszystko widzę: Kopfa na Podłej Górze, osmolony komin pompowni, boisko, wieżę kościoła, a i kartofle skarłowaciały w cieniu drzew. Jestem początkiem tegorocznego kopania, to we mnie zapala się znicz, który zgaśnie za kilka dni w spękanych rękach mamy, ale wolałbym, żeby było odwrotnie. Ze swoim koszem, trochę za dużym, ciężkim, objając kolana schylam się po pierwsze bulwy rzucam je na dno jak jabłka i tak pochyłony podnoszę następne, i następne. Rozkręca się we mnie maszynka do zbierania, wchodzę w zieloność młodego żyta, by wybierać kartofle wyrzucone gwiazdą kopaczki. One jakby się broniły przede mną, ukryte za żdźbłami żyta upodobniają się do grudek piaszczystej ziemi. Z żyta wracam w redliny, znowu zbieram wielkie bulwy, w koszu przybywa, jeszcze chwytam kilka głowiastych na wierzch, a już słyszę, jak wujek wysypuje swój urobek na wóz. Nie zbieram pełnego kosza, chcę być przed ciotką, ale chyba nie dam rady. Ciotka już się prostuje, idzie ze swojego końca do ustawionego pośrodku pola ogumionego wozu. Opieram kosz na udzie i popycham go nogą, byle szybciej, koniecznie muszę być przed ciotką. Posuwa mnie ta chciwość, ta chęć wyprzedzenia ciotki, lecz im jestem bliżej wozu, tym wolniej finiszuję. Nareszcie. Nie udało się ciotce wyprzedzenie mnie: szybkościa, szkolniaka i robotnika, dzieciucha przejętego kopaniem, jak mówi mama.

— Zuch z ciebie — pochwała mnie ciotka szczerząc bezzębne dziąsła. — Wyprzedziłeś mnie, chcesz być lepszy na swoim, co? Ciotkę starą przegnałeś?

Już i jest mama, wytrząsa swój urobek, a kiedy odwróci się od ciotki i wzrok jej ugrzęźnie we mnie, dorzuca:

— Nie biegaj z pełnym koszem, bo jeszcze się przerwiesz. Nazbieraj trochę i targaj do wozu. Nikt cię nie goni, żebyś musiał się spieszyć.

— Długo tak nie wytrzymasz, braciszku kochany. Zobaczmy jutro, czy ruszysz ręką? — ostrzega ciotka znowu szczerząc bezzębne dziąsła.

Wędruję z koszem na nodze od kartofla do kartofla, czasem uda mi się podnieść jednocześnie dwa małe, niekiedy schwycę stwardniałą bryłkę ziemi, a gdy w krzyżu coś zaczyna sztywnieć, co nie chce przywyknąć do schylania się i być twardym kabląkiem, stoję między kupkami bulw i długo się prostuję. Szkoda czasu i tak za chwilę znowu muszę być kabląkiem, więc wracam głową do ziemi, napęnlam kosz kartoflami, bo od tego nie ma żadnej ucieczki, taka moja dola. Czasem trafi mi się naroślak, wtedy przerzucam go przez siebie, na szczęście. Wymyślam to szczęście: piątka z matmy, proch tutkowy, nowy scyzoryk, ale byłbym najszczęśliwszy, gdyby ojciec powiedział, że mogę wziąć lejce w dłonie i wiokać na konie, a on teraz zajmie moje miejsce. Krzyczałbym na konie, machałbym batem, wydłubywałbym kartofle i czekał, kiedy ojciec skończy swoją działkę. A jeszcze szczęśliwszy byłbym, gdyby wszystkie chmury zebrały się nad naszym polem i rzuciły deszcz.

Ręce moje zdają się być za małe do kartofli albo całkiem niezręczne, coraz rzadziej odnoszę do wozu napęnlone kosze. Mam już dość zbierania, wsłuchuję się w jęczenie szorów na końskich grzbietach. Oni, dorosli i silni zbieracze, noszą pełne kosze i się śmieją nie wiadomo z czego, a u mnie jak na złość kartofle porozrzucane aż w żyto i tyle ich, że nie nadążam się

schylać. Na nic się zdały moje rozmyślania, obrodziło nawet pod drzewami, jak żadnego roku. Ileż wozów kartofli ojciec wywiezie z pola, potem na targ do Chłopimostu, do spółdzielni. Dźwigam kosze do wozu, zmęczony wracam na swoją działkę, i tak wkoło: schylanie się, zbieranie, noszenie. Kręgosłup boli, ręce drętwieją, gorąco. Jeszcze czekam na przerwę, dopiero w niej cały urok za długiego dnia wykopkowego.

Słońce tylko na chwilę wylazło zza kocich chmur i grzeje w plecy, jakby chciało rozmiękczyć mój kręgosłup. Ale kabłąk karku nie tak łatwo się odgina, muszę się zaprzeć, żeby go wyprostować. Niekiedy ostatnia zabłąkana mucha zabrzęczy nad moim uchem, ja: pac brudną ręką po głowie. A sio, a sio!

— Jak ci idzie? — pyta ojciec, z daleka widząc moje trudzenie się z koszem pełnym kartofli.

— Krzyż boli i gorąco. Która godzina, może już czas na obiad?

Ale do obiadu jeszcze daleko, niedawno pojechał pociąg na dziesiątą; zaczynam mieć dość kopania, wolalbyśmy iść do szkoły. Co teraz w klasie: matma, polak, a może pani od matmy zachorowała i wolna godzina?

— Pomogę ci — mówi ojciec.

— Mogę usiąść?

Ojciec nie słucha, z zapasowym koszem staje obok mnie i pomaga, gdy musi czekać, aż pod drzewami wyzbieram wszystkie kartofle. Szybko napelni swój kosz, kilka bulw dorzuci do mojego, a tu jeszcze nie wszystko. Razem idziemy do wozu. Niedługo będzie już połowa skrzyni, bo kartofle wielkie, dorodne, chyba u nikogo takie nie wyrosły.

— Dobrze daje. Z kilku rzędków prawie pełen wóz kartofli — cieszy się ojciec.

— Może dziś nakopimy ze dwa wozy, co, tata?

Do południa jeden, po obiedzie jeszcze jeden? I za dwa dni skończymy kopanie?

— Dwa, mówisz? Hm, jeśli dobrze pójdzie, będą dwa. — Ojciec przystaje, czeka na mnie. — Nie chce ci się zbierać?

— Mnie? Nie, chce się. Będę gospodarzem — mówię cicho, ale ojciec tylko się uśmiecha. Przecież on dobrze wie, że nigdy nie zostanę na ojcowiznie, ucieknę, będę urzędnikiem, jak Stacho Kopfla.

Szkoda czasu na dłuższą rozmowę. Jeżeli mamy sobie opowiadać, to tylko w czasie zbierania, wtedy można rzucać jednym słowem z jednym kartoflem na zmianę. Ciotka swoim gadaniem potrafi zagłuszyć całe pole, trąluje wujkowi do ucha, opowiada, jak u nich kopano. Niekiedy któreś mocniej wypowiedziane słowo doleci do mamy, wtedy i mama prostuje się, uzupełnia ciotczyną opowieść. Dwie osoby z tego samego gniazda, ten sam pomysłupek i obie nie dają wytchnienia językom, tylko gadają. Wujek nie prostuje się, jest ciekawy paplaniny ciotki, chociaż słyszał to już tyle razy, ale on się nigdy nie sprzeciwi, ciotka mu na to nie pozwoli. Więc pokornie słucha albo tylko udaje.

Całkiem mnie wysztywniło, już nie mogę się schylać. Gdyby nie oni, usiadłbym pod drzewem i płakał jak Staszek w pustym domu. Ze złością w oczach patrzę na kartoflane pole i rachuję: będzie jeszcze przynajmniej trzy dni schylania się. Nie wytrzymam. A gdy znowu liche słońce wylezie zza chmur, myślę o ucieczce. Dokąd? Gdyby lunął deszcz, nagły, krótkotrwały? Kilka minut deszczu i na dziś koniec zbierania, do wieczora hulaj dusza, piekła nie ma. Mam wolne! Jutro jakoś by było; może jutro wybawiciel deszcz odwiedzi nasze pole, wystraszymy się go i hajda do domu? A później musi być koniec z moim kopaniem,

pójdę do szkoły, najwyżej po południu, gdy już wieczór wychodzi na pola, przyjdę z jakąś pomocą. Po cóż moje rozważania, kiedy znowu całe pole zrobiło się złościście gorące, a na nim i mnie słońce nieźle przygrzewa. Zdrętwiały krzyż sztywnieje coraz bardziej. Ani płakać, ani uciekać, bo dokąd i co by oni powiedzieli?

Już na kolanach suwam się między kartoflami. Na kolanach trochę wygodniej i jakby lżej. O, tak mógłbym jeszcze z godzinę krążyć pośród bulw. Kolana mam twarde, prawie skamieniałe, to od częstego przesiadywania na boisku nad grą w noża.

— Nasz Wituś już ma dość pola — zauważa ojciec, a wszyscy wybuchają śmiechem, najgłośniejszym ciotka.

Żeby któreś powiedziało: Idź, synku, pod drzewo, usiądź sobie, odpocznij chwilkę. A to nie: rób i rób. Jak mam w młodości zalewać się lepkiem potem, to co będzie na starość, chyba z pola nigdy nie zejść? Dlatego muszę zostać urzędnikiem, jak Stacho Kopfla. Dla siebie na pewno już nazbierałem kartofli, mnie na całą zimę wystarczą najwyżej ze trzy kosze. Kto chce więcej, niech dalej kopie, niech zbiera choćby do przymrozków. Buntuję się, ale tylko sam, nikomu jeszcze o tym nie mówię, bo może słońce znowu umknie za chmury deszczowe? Patrzę w górę: ani widu deszczu, a słońce jeszcze odważniejsze.

— Może już czas na obiad? — pytam ojca siadającego w kucki przy kopaczce.

— Głodnyś czy chcesz odpocząć?

Nie odpowiadam, zamykam się w sobie wraz ze swoją udręką i czekam, kiedy ojciec ogłosi przerwę. W niej moje jedyne wybawienie. Nie głód mną rządzi, chociaż coś bym zjadł, nawet kawałek suchego chleba, najlepiej chleba z kiełbasą.

— Wyzbieramy ten rząddek i będzie obiad. Chyba kilka minut wytrzymasz? — pociesza mnie ojciec, kpiarz z nieswojego uciekania od ziemi.

Obiad, a może nie tylko obiad, może zwyczajne siedzenie pod drzewem, wpatrywanie się w rozgarnięte pole i szukanie tego, czego się nigdy nie znajdzie, jest szturchadłem do wielkiego jedzenia? Umykają wtedy wszystkie pomysłówki, człowiek staje się maszyną jedzącą albo niezależnym od niczego motorem rozpychania pustych kiszek i skurczonego żołądka. Gdy jeszcze zawieje chłodny wiatr i odsunie na bok, w rozkopisko pachnące schnącymi ostami, lebiodą, naciną tych kilka zabłąkanych, kąśliwych igieł słońca, pozostanie tylko apetyt, można wtedy jeść nawet ostatnie tłustości z wielkanocnego świniołowia.

Już mam przerwę, mama i ciotka kończą swoje działki, ja nie, ja zbieram drewno na ognisko, na to, w którym upieczemy pierwsze tej jesieni kartofle. Kręci się we mnie zapach kartoflany, niby spalenizna, ale nie, kiedy tę spaleniznę przytknę do ust, do nosa, wchodzi we mnie zapamiętany aromat. Przy samej nitce drogi najgrubsze polana, akurat takie, które nie tylko podtrzymają płomień, lecz i będą się tliły dopóty, dopóki nie pozostanie z nich żar. Już nic mnie nie boli, wszystko, co moje, poczuło zapach zbliżającego się obiadu i pierwszych pieczonych kartofli.

— Cały wóz chcesz upiec, bracie kochany? — żartuje ciotka i na trawie rozkłada majdan obiadowy. — Szybciej, synku, bo trzeba podgrzać kawę, a na długie siedzenie nie mamy czasu — dodaje uśmiechając się chytrze.

Ojciec przywiązuje do gałęzi blaszany dzbanek z czarną kawą tak, by ogień jedynie lizał dno. Kawa nie może być za gorąca, zimna też nie, tylko akurat taka, żeby nikogo nie parzyła w język. Patrzę na roz-

hukane ognisko, myślę o pieczonych kartoflach i czuję, że ślina wycieka mi przez zęby.

— Siadaj i jedz, Wituś! Co ci podać? — pyta mama i nie czekając na moją odpowiedź, podaje pajdę chleba z mięsną dobrocią.

Pod drzewami odartymi z liści nasze obiadowe miejsce. Siedzimy na trawie i prawie milczkiem wyganiamy ze siebie głód. Mama z ciotką co chwila podają łakocie. Nie wiem, skąd we mnie aż tyle pustego miejsca. Chleba ubywa, a ja czuję coraz większy głód; jem i jem, mama podaje kolejne pajdy.

— Aleś zgłodniał — śmieje się ciotka, lecz i ona wyciąga rękę po chleb.

— Jedz, jedz, synku, nie oglądaj się, jeszcze jest dużo, wystarczy dla wszystkich — pociesza mnie mama i znowu podaje pajdę z kielbasą pachnącą czosnkiem, pieprzem, dymem.

— Szczęść Boże! — woła Żuczycha przystając na drodze przy nas.

— Bóg zapłać! — odpowiada zadowolony ojciec.

— Możliwe pyrki? Bo u mnie same siubárdzie.

— Dziękować Bogu, udały się jak żadnego roku — odpowiada mama, ale Żuczycha już nie słucha, pokuśtykała dalej.

Nie lubię Żuczychy; kiedyś naskarżyła mamie, że kradłem jabłka z jej sadu. A to nie tak było, wcale nie kradłem, tylko zbierałem te, które leżały w trawie. I tak by zgniły. Mama nie uwierzyła, powiedziała, że Żuczycha nigdy nie kłamie, bo co niedziela chodzi do kościoła, modli się głośno, z książeczki, pomaga księdzu. — Żuczycha by kłamała? — spytała mama i harap mnie pasem. — Żebyś zapamiętał, że złodziejstwo jest największym grzechem. Jak lenistwo.

Ciotka rozlewa kawę, popijamy ją z tych samych kubków blaszanych, które widziały żniwa, sianokosy,

sadzenie. Piję powoli, nareszcie czując pełność żołądka. Chciałbym wyciągnąć się i poleżeć, zasnąć aż do wieczora. A tam, w resztkach ogniska, w tym rozpalonym popiele robi się moja dobroć, pieką się kartofle. Ojciec przerzuca gasnący żar, miesza go z popiołem, chce przyspieszyć pieczenie się. Czekam, kiedy powie, że już można jeść. Ojciec jeszcze nic nie mówi, tylko rozgarnia popiół, dmucha.

— Jedzcie więcej, do wieczora daleko — prosi mama.

— Ano, daleko — potwierdza ojciec i z kieszeni spodni wyjmuje zmiętoszoną paczkę papierosów.

Wszyscy już mają dość, przestali się opychać maminymi łakociami, ciężko dysząc rozplaskują się na trawie, lecz i jeszcze czekają na pieczone kartofle. Korcą mnie pieczonki, patykiem rozgrzebuje popiół, ale ojciec cap mnie za rękę i krzyczy:

— Nie ruszaj! Za mały żar i dlatego muszą dłużej poleżeć w popiele.

Nie słucham ojcowego objaśniania, w którym jest i doświadczenie, i troska o mnie. Wygartuję jedną bryłkę kartoflaną, niby siwiejący węgielek, wdycham aromat, czuję, że to właśnie zapamiętałem. W aromacie pieczonki jest coś specjalnego, nagroda za schyłanie się, za łamanie kręgosłupa, za czekanie na deszcz. Chwytam palcami parzącą dobroć, kilka razy przerzucam ją z ręki do ręki, jakbym wyganiał gorącego ducha ogniska.

— Chociaż obetrzyj z popiołu — słyszę proszący głos ojca. — Pfe, jesz sam węgiel.

— Patrzcie, ludzie, zjadł! — krzyknęła mama, a wyrwany z zamyślenia wujek podniósł głowę tak wysoko, że wypadł mu z ust papieros. Wujek jakoś dziwnie spojrzał na mnie, aż się zawstydyziłem.

— Aleś się, bracie kochany, usmolił. Wyglądasz jak kominiarz — dorzuciła ciotka.

Nie słucham nikogo, z popiołu wydaję następne, i następne kartofle. Doświadczony pierwszą pieczonką, z drugiej zeskrobuję patyczkiem spaleniznę, a gdy nie mogę sobie poradzić, zrywam ją palcami jak skorupę. Nikogo nie dostrzegam, nikogo nie słyszę, tylko zębami wybieram środek, bo gorące pieczonki nie pozwalają się jeść szybko, hamują mój zapęd. Jem, już wolniej, żołądek mam przepełniony, wielkimi haustami łykam powietrze, lecz i to nie pomaga. Czekałem na te pieczonki tyle miesięcy, więc mam prawo nikogo nie słuchać, to są moje kości do ogryzania, moja kielbasa z lemoniadą.

— Na polu najsmaczniejsze jedzenie — mówi ojciec i też oskubuje kartofle ze spalenizny.

— Pieczone kartofle? — dziwi się mama, ale i ona wyciąga rękę po pieczonki. I wujek już się podniósł, nawet ciotka dmucha na kartofle.

— Przerwa? — pyta Knast przystając obok na drodze.

— Ano, trzeba odpocząć — odrzekł ojciec, a Knast powstał jeszcze, powstał i poszedł sobie.

— Partyjna zaraza. Węszy — rzekł cicho ojciec.

— Ciszej — powiedziała mama pokazując głową na mnie.

W Bramsku nikt nie lubi Knasta, najbardziej Słojewski. Ja też go nie lubię, chociaż nie wiem dlaczego. Ojciec mówi, że Knast jest fałszywy i skurwysyn. To pewnie dlatego, że ma najwięcej świń, najwięcej pola i jeździ do Zielonej Góry. I że warszawę kupił. Ja, gdy urosnę i zostanę urzędnikiem, też kupię sobie auto, ale nie warszawę, lecz syrenkę, żeby głośno tyrkotała i żeby cała wieś wiedziała, że to ja jadę, a nie Knast. I kapelusz sobie kupię; urzędnik musi nosić kapelusz.

I wtedy nic nie będę robił.

— Mamo, kto to jest bajstruk?

— Co ci przyszło do głowy? Jaki bajstruk?

— O Krzysku tak mówią: patrzcie bajstruk Kna-
sta.

Mama spojrzała na ojca, długo nic nie odpowia-
dała, ale nie ustępowałam, więc powiedziała:

— Tak się z niego tylko śmieją. Na ciebie też
wołają... Jedz, bo zaraz będziemy się zbierali.

Wszystko wiem. Wiem też, że Krzysiek nie ma
ojca i że jest trochę podobny do Knasta, a listonoszka
co rusz wychodzi z podwórza Knastów i niesie półcie
słoniny albo bańki mleka. Dawałby kto za darmo? To
pewnie dlatego ludzie śmieją się, że Krzysiek jest baj-
strukiem.

Skończyły się pieczonki; wszyscy objedli się, teraz
rękami wycierają resztki kartofli pozostawionych wo-
ków ust. Sadza z ziemią tworzą doskonałą parę, ładnie
nam z tym. Ale trzeba to zetrzeć, chociaż moglibyśmy
tak chodzić aż do wieczora, przecież pole to nie koś-
ciół, gdzie się patrzy na ubiór, zwracając także uwagę
na uczesanie, a przy okazji na twarz, która ginie w
krasocie i różnościach sukienek, ubrań, płaszczy gru-
bых i popelinowych, bogatych futer. Ciotka dokład-
nie wyciera twarz, pluje na palce i myśli, że już jest
czystszej ode mnie, a ona tylko rozmazała sadze ra-
zem ze śliną.

Konie też przestały wystukiwać uzdami obiadowe
melodie o koryto, skończyły obrok i teraz pozostało
im tylko pogodzenie się z wykopkowym przeznacze-
niem, muszą nosić na tłustych karkach ciężki dyszel
i ciągnąć za sobą kopaczkę buszującą w piaszczystej
ziemi.

— Chodź, synku. Zjadłeś i odpocząłeś. Trzeba się
brać za robotę. Nikt, oprócz nas, nie wybiera karto-

fli. Taki jest nasz los. — Mama stanęła nade mną i próbuje poderwać mnie słowami, a mnie się wcale nie chce wstawać. Leżałbym tak i patrzył, jak oni gną swoje karki.

Nikt, oprócz nas — powiedziała mama, jakie to niesprawiedliwe. Dlaczego Zygmunt Supłata nie zbiera kartofli? Śmieje się ze mnie, że niby on to co innego, nie ze wsi. A skąd? Prawda, jego ojciec jest aż kierownikiem szkoły, ale też mieszka w Bramsku, to znaczy na wsi. A Krzysiek listonoszki, a Heniek, a Karol, a Zbych? Oni nie zbierają kartofli, nie pasą krów, nie grabią siana; bawią się na boisku albo chodzą z wędkami nad Starą Obrę.

Żeby palcem kiwnąć i nie ma nacy! Ten wielki wóz pośrodku pola pełen kartofli, aż się wysypują. Uderzałbym konie batem po tłustych zadach, wio! rozładować do domu. Dzień, najwyżej dwa i po kopaniu. Nie wiadomo kiedy kartofle zniknęły z naszego pola. Chodzą we mnie myśli czarnoksięskie, podpowiadają, co by można było zrobić, żeby się nie męczyć. Jeszcze leżę, a już zaczyna w krzyżu sztywnieć, może nie aż tak sztywnieć, jak przypominać o schylaniu się straszonym. Wstałem i jak wszyscy prostuję kości, szukam swojego kosza, by za chwilę tylko widzieć leżące na rozkopanym polu przekłute kartofle. Nie lubię jesieni, nie lubię pola, niczego nie lubię. Wolałbym być, jak Krzysiek listonoszki, bajstrukiem.

Ojciec znowu pokrzykuje na konie, a my powoli wprzęgamy się w kierat obracający się monotennie od rana do zmroku. W zdrętwiałych nogach czuję trud kopania, tak jakby nie wystarczały bóle krzyża, ale to w nogach nakazuje przyklęknąć i posuwać się na kolanach. Podnoszę głowę: słońce za mglistą firanką chmur. Nie będzie deszczu, jedynie wieczór może zakończyć ten dzień i przerwać kolanowe suwanie się

po kartoflisku. Wolno ubywa rzędów, pełen wóz czeka na odwiezienie go, a my już zbieramy na kupki, sypimy dwa kopce, jeden dla mnie z wujkiem, drugi babski.

— Na dziś koniec! — oznajmia ojciec, a ja nareszcie się cieszę. Jeden dzień przemęczyłem się!

Dawno już nie mieliśmy tak dorodnych kartofli, niczym obłocone buraki wysoko wypełniają skrzynię wozu trzeszczącą przy ruszaniu z miejsca. Ojciec usiadł na samym wierzchołku naszego urobku, my idziemy z tyłu za wozem. Konie ciągną, aż szory napinają się jak guma w procy. Kara jakby chciała uciec na łąkę, Kasztan zapiera się kopytami. Z górki konie biegną, popędza je sam wóz, wtedy obaj z wujkiem chwytamy za rączkę hamulca i zawieszamy się na niej jak nietoperze.

— Uważajcie, żebyście nie wpadli pod koła. Władek, trzymaj Witusia! — dolatuje do nas ostrzeżenie ciotki długo przedzierające się przez chmurę kurzu wyrastającą za rozkołysanym wozem.

Już się cieszę, zapomniałem o dniu wykopkowym, na polu została moja boleść krzyża, jestem pełen nowej radości. Już chciałbym gonić do chłopaków kopiących piłkę na boisku i jak oni okrzykami odpędzać nadchodzący od strony łąk mglisty wieczór. Siedzimy obaj z wujkiem na wozie wymachując nogami, ręce topimy w kieszeniach spodni, pogwizdujemy. Jeden dzień wykopkowy za nami. Przyjedziemy na podwórze, opluczę ręce z resztek ziemi i hajda do chłopaków. Nie ma we mnie głodu chleba, zmęczenia, jest tylko głód hasania. Dla nabrania wprawy kopię powietrze tak, jakby to była piłka przelatująca obok wyciągniętej nogi. Czasem uderzę o skrzynię wozu, ale nie czuję żadnego bólu. Jestem uodporniony na wszystkie łamanie, kopanie, szczypanie.

— A ty dokąd?! — woła ojciec. — Chodź, chodź, pomożesz zrzucić kartofle do piwnicy. Zrzucimy te i szybko po resztę na pole. W nocy może być tęgi przymrozek.

Szyja mi zwiędła; ledwie stanąłem na podwórzu, a głowa opadła, już wisi jak zbyt ciężka. I znowu gdzieś zza któregoś gnatu wychodzą boleści, wypełnia się nimi mój kręgosłup, cały jestem obolały. Mocno trzymam gable w naciągniętych dłoniach; gable przyciskam do siebie jak piłkę i tak zanurzam je w kartoflanym mrowisku, by za chwilę zaprzeć się, unieść wysoko skurczone ręce i zamasyście popchnąć kartofle w małe okno piwnicy. Ojciec wyprzęgnął konie i też wziął się za zrzucanie. We dwóch praca idzie szybciej, ale tu jakby wszystko na odwrót, kartofle zsuwają się na ziemię i ciągle ich za dużo, są pod podeszwami butów, przeszkadzają. Zapieram się mocno, jeszcze sprawniej wymachuję ciężkimi gablami, jeszcze rozkręcam się, ale to już resztki moich sił.

— Chodźcie do domu! Coś zjecie, bo na pewno jesteście głodni?! — woła mama z ganku tonącego w mroku.

Przestaje mnie boleć krzyż, już wszystko wraca na swoje miejsce; wystarczy wspomnieć o jedzeniu, a staję się kimś zupełnie innym. We mnie tkwi nie chęć napychania żołądka, nie głód mną rządzi, lecz siedzi we mnie pragnienie oddechu trwającego dłużej niż wyznaczony odpoczynek.

— Szkoda czasu — słyszę cichy głos ojca. — Ciemno, a przy latarce żadna robota.

— Chociaż troszkę, kawałek chleba tylko — prosi łagodnie mama.

— Skończymy, to będziemy jedli — ojciec na to.

Od nowa jestem tamtym, dawnym Witusiem, obolałym i liczącym kartofle na wozie. Gdy wyteżę słuch

i doleci mnie pokrzykiwanie chłopaków na boisku, przestaję unosić gable, by lepiej wgryźć się w słowa przypominające o każdym innym dniu, tylko nie o wykopkowym. A kiedy już na wozie pozostaną okruchy piaszczystej ziemi, na chwilę idziemy obaj z ojcem do domu, zjeść i dalej w pole po resztę dzisiejszego urobku.

— Masz dosyć, prawda? — śmiejąc się pyta ojciec.

Powiedzieć prawdę?

— Nie, troszkę boli mnie w krzyżu — odpowiadam i zaraz chwytam się za boki, by w drugą stronę wygiąć kabłąkowate plecy. — Nawet się nie zmęczyłem aż tak specjalnie.

— Chociaż raz możesz porządnie się pogimnastykować. A ja tak całe swoje życie, od małego za pługiem, i nie narzekam. Lubię to. Nie chciałbym być nawet ministrem.

— Też nie narzekam. Pytasz, czy bolą plecy, to odpowiadam. Jakby silnie bolały, nie jechałbym z tobą w pole.

Na moim krzyżu już mogą leżeć tony, nie poczuje niczego. Pod ciężarem skończonego dnia uginam się myśląc tylko, że najgorzej być gospodarzem. Kiedyś nasza pani spytała, kto kim będzie, gdy urośnie. Powiedziałem, że zostanę gospodarzem, ale najpierw muszę skończyć szkołę, bo chcę być dobrym gospodarzem, jak Słojewski. Teraz wiem, że lepiej zostać kierownikiem szkoły albo kolejarzem, a już najlepiej być urzędnikiem, jak Stacho Kopfla.

Nad nami zawisł krąg jasnego księżyca oświetlający całe pole, pod nim dostrzegam czubki domów złożonych do snu i cienie milczących drzew, nic więcej.

— W nocy będzie przymrozek — mówi ojciec. —

Dobrze, że przyjechaliśmy po resztę. Szkoda kartofli, prawie cały wóz.

— Szkoda byłoby, gdyby zmarzły — powiedziałem, ale wcale tak nie myślałem.

1970

PAPIEREK

Przytulak długo siedział na ławce przed kinem i zastanawiał się, dlaczego już nieliczni i małomówni wędkarze stoją po kolana w wodzie pomarszczonego jeziora, zachłannie machają kijami, jakby odganiaли natarczywe komary, które jeszcze bzyczą nad uszami, chociaż lato tego roku było suche i prawie bezdeszczowe, że kwiaty przed barem zupełnie zmarniały, a trawa na łąkach przyobrzezańskich wysechła. W czasie festiwalu, kiedy zataczający się filmowcy wychodzili z baru wtedy otwartego całą dobę, Przytulak obijając sobie nogę nosił w blaszanej, ciężkiej konewce wodę z jeziora i poił mizerne pelargonie, zwiednięte brał za główki jak kocięta, na ich miejsce wtykał inne, z doniczek stojących w hallu kina. Tak nakazywał mu dyrektor Niorko, bo festiwal raz w roku i nie wiadomo kto z Warszawy przyjedzie, może sam główny minister albo ktoś jeszcze ważniejszy. Kto jest ważniejszy od ministra, tego Przytulak nie wie i nigdy nie wiedział, chociaż w swoim życiu widział już kilka bardzo ważnych osób. Podobno był minister, rozmawiał z artystami w barze, pił wódkę z dyrektorem, z innymi, ale na kwiaty, które Przytulak każdego ranka podle-

wa, nie spojrział nawet, choć czerwieńsze niż barowa lemoniada.

— Pies go trącał — powiedział sam do siebie i pokuśtykał wzdłuż brzegu jeziora.

Na przeciwległym brzegu od ostatniej wiosny drzemie dźwig, podobno jakaś fabryka ma budować ośrodek wypoczynkowy, bo Chłopimost usadowił się między lasami bukowymi, w dolinie, daleko od kurzu miast, woda tu najczystsza, powietrze najzdrowsze, po prostu uzdrowisko. „Czekamy na właściwe odkrycie, korzystne dla naszego rozwoju” — powiedział naczelnik na zebraniu zbawidowców. Nie ten naczelnik, do którego teraz Przytulak idzie, lecz poprzedni, nim został prezesem spółdzielni, było to bardzo dawno, tak dawno, że dyrektor szkoły nawet nie już nie pamięta, tylko on, Przytulak, ciągle czeka i doczekać się nie może.

— Kiepsko bierze — stwierdził przystając tuż za plecami wędkarza, który wydał mu się skądś znajomy. Nie doczekawszy się odpowiedzi ani potwierdzenia, spojrział na drugą stronę drogi, gdzie pod już odartymi z liści lipami stał lśniący w jesiennym słońcu polonez dyrektora szkoły, dalej był bar „Ludowy”, o tej porze roku zamieniony na magazyn połamanych ławek i krzeseł parkowych, które latem naczelnik każe najpierw pomalować, a potem mocno przybić gwoździami do pni drzew, nigdy inaczej, bo zginą już pierwszej nocy.

Kuśtykał i przystawał; wydawało mu się, że miasteczko zupełnie wymarło, na drodze pustka, ani żadnego traktora, ani żywego człowieka, a Przytulak porozmawiałby teraz, zapaliłby papierosa, lecz nie ma z kim, sam nie lubi beczynn timer siedzieć i palić. Latem jest inaczej, uliczką spokojnie przejść nie można, sami przyjezdni, długie zagraniczne samochody, budki z lo-

dami, goframi, frytkami; niby Chłopimost ten sam, wciśnięty w wąwóz okolony z jednej strony niebosiężnymi sosnami, z drugiej gubiącą jesienią miedziane liście buczyną, a jednak inny, prawie wyludniony, że nie ma z kim porozmawiać. Przed pałacem majątkowym, zamienionym na dom kultury, Przytulak dostrzegł samochód, do którego wnoszono obrazy, same olejne, wielkie. Przytulak nie lubi takiego malarstwa, niewiele z tego rozumie, ale w czasie festiwalu powiesił w hallu kina kilka takich bohomazów, dla ozdoby, dla podchmielonych filmowców, żeby pomyśleli i wiedzieli, jacy kulturalni ludzie mieszkają w Chłopimości, że nie tacy prości, choć to święta prawda. Stąd młodzi i mądrzejsi dawno wyjechali do Zielonej Góry, syn doktora Nierusza mieszka aż w Poznaniu, brat poprzedniego sekretarza osiadł za jeziorem, gdzie z dala od wszystkich stawia wielki dom wczasowy. Tylko Marynia, najmłodsza córka naczelnika, nie ma szczęścia i kiśnie w spółdzielni. Przytulakowi żal się zrobiło dziewczyny, zna ją od małego dziecka, często bawiła się z jego Hanką, która teraz uczy dzieci w Zielonej Górze, chociaż czekali na nią w Chłopimości: w Zielonej Górze skończyła studia, w Zielonej Górze wyszła za mąż i tam została; ładnie śpiewa, a w wielkim mieście taka właśnie bardzo potrzebna, bo co by robiła w Chłopimości, jeżeli dom kultury czynny tylko podczas festiwalu? Czasem Hanka przyjeżdża do ojca na wakacje, akurat wtedy, kiedy zaczyna się festiwal, a filmowcy wynajmują pokoje i wcale się nie targując płacą jak w najlepszym hotelu. Ile kosztuje miejsce w najdroższym hotelu, Przytulak nie wie, jedynie powtarza po naczelniku, który nocuje w hotelach, bo to nie byle kto, a naczelnik miasteczka filmowego.

Nieśmiało wszedł do rozkraczanego na środku kwadratowego ryneczku niewielkiego budynku urzędu

miasta i gminy. Śmierdziało stęchlizną, gnijącymi kartoflami, czadem, wilgocią; w małym, mrocznym korytarzu nic nie widział, przetarł oczy palcami próbując wgnieść je do środka, jakby się bał, że może w coś uderzyć i wydłubać je. Kilka razy bywał już w urzędzie, zawsze wzywany służbowo, kiedy przyjeżdża z Zielonej Góry dyrektor Niorko i każe mu mówić o tym, że w kinie brakuje węgla, ławki zniszczone, podłogi butwieją. Wtenczas naczelnik funduje prawdziwą kawę w maciupenkich filiżankach, sekretarka ustawia na stole bukiet goździków, potem te kwiaty niesie pod pachą do domu, ale w czasie zebrania jest bardzo ładnie, najładniej w ciągu roku, bo sam festiwal nie dla Przytulaka; on jest kierownikiem kina, ma pilnować sprzątaczek, podlewać kwiaty, czasem chodzi do sklepu po wódkę, do rybaka po węgorze wędzone, odnosi walizki filmowców do autobusu. Dziś jest inaczej: „naczelnik ma do niego sprawę”, tak powiedział. Nie słyszał głosu naczelnika, rozmawiał z sekretarką, która siedzi w tym mniejszym pokoju i powtarza słowa naczelnika. Więc kiedy ona powiedziała, że „naczelnik ma do niego sprawę”, wcale się nie zastanawiał, nie pytał, jaką sprawę, tylko delikatnie położył słuchawkę na widelkach telefonu i tak, jak kazała sekretarka, włożył do kieszeni spodni pieczątki, dwie: Kino „Druh” w Chłopimości i — Kierownik Przytulak Jan. Mógł spytać, po co naczelnikowi dwie pieczątki, swoich ma na pewno kilka razy więcej, bo to urząd dużej gminy, na każdym liście urzędowym pieczątką: Urząd Miasta i Gminy w Chłopimości, zamiast znaczka też pieczątką: Opłata pocztowa zryczałtowana, niekiedy trzecia pieczątką: Pilne albo: Druk, albo: Polecony. Pomyślał, że jeżeli naczelnik go prosi i każe przyjść natychmiast, dobrze zapamiętał „na-

tychmiast", na jednej nodze, to musi mieć do niego coś bardzo pilnego.

— A co, mam dwie nogi? — śmiejąc się pytał sam siebie. — Tak, dwie, tyle że jedna państwowa i nie do zdercia, wydana na ubezpieczalnię. Więc naczelnik ma do mnie sprawę? — znowu pytał tylko siebie. — Cóż to za ważna sprawa? Na pewno dowiedział się o jakimś filmie, którego w Chłopimości jeszcze nie było, każe go sprowadzić, bo Chłopimost musi widzieć nowości, bo jest to miasteczko sławnych festiwali. Albo sam przywiózł film zakazany, z golizną, on takie lubi, w tajemnicy przed sekretarką wręczy mi taśmę, wyznaczy godzinę projekcji i powie, żeby nikt się o tym nie dowiedział. A co, smarkacza ma przed sobą?! Wiem, dobrze wiem, kiedy takie zakazane filmy należy wyświetlać. Jakaś butelka by się zdała, kochany Przytulak, jeszcze doda, niby w tajemnicy, albo odciągnie na bok i do ucha szepnie.

Ileż razy Przytulak przynosił z domu kieliszki, specjalnie po nocach pędził samogon, milicjant Stacho Kopfel wiedział o tym, sam się wpraszał, wołał leśniczego, czasem i sekretarz przychodził, ktoś obcy, kogo Przytulak nie znał, ale uważnie obserwował. Na jednej butelce nigdy się nie kończyło, dobrze o tym wiedział, dlatego w szafie za segregatorami zawsze trzymał kilka zapasowych flaszek samogonu, żeby nie wychodzić do domu i nie tłumaczyć się żonie, która niczego nie podejrzewała i o niczym nie wiedziała albo tylko udawała, że nic nie wie. Bo w takim miasteczku można cokolwiek zachować w tajemnicy?

Z Przytulakiem już było źle, kiedy zapisał się do partii. Cały Chłopimost odwracał głowy w przeciwną stronę, gdy on szedł przez miasteczko. A już zupełnie źle z nim było, kiedy postanowił wbrew wszystkim założyć spółdzielnię produkcyjną.

— Odbierzemy ziemię, w oborach ustawimy krowy, w stajniach konie i będziemy wspólnie orać i siać.

Gdy go spytano, kto zostanie przewodniczącym, powiedział, że to zależy od woli gospodarzy. Na początek jednak on, jako inicjator, powinien organizować spółdzielnię i na poparcie swojej myśli dodał:

— Przewodniczącego wybierzemy później. Ale też takiego, który należy do partii.

Gospodarze obrazili się, już najbardziej Kwarta i Wyborek, i zbuntowali wszystkich. Mało tego, dopadli Przytulaka w łożinkach, gdy mierzył łąki i siekierą (nie wiadomo do dziś czyją i kto to zrobił) odrąbali mu prawą nogę. Dopiero wtedy zrozumiał, że nie wolno występować przeciw wszystkim, ale już było za późno.

Zagubiony długo błądził w ciemnościach, zapalką próbował oświetlić schody, lecz gasła w przeciągu, a on ciągle szukał wejścia. Ktoś zaszurał butami i wszedł do korytarza, dopiero wtedy Przytulak zobaczył przed sobą obite ciemną dermą — może to była skóra, tego nie wiedział, chciał dotknąć — oznaczone wywieszka: Naczelnik Stanisław Gnida, drzwi. Jeszcze w ciemności zdjął z głowy czapkę, ręką przyczesał łysinę, kilka razy odchrząknął, bo coś twardego stało mu w gardle, i ostrożnie, prawie na palcach wszedł do środka. Nie rozglądając się, głosem wyciszonym, ledwie słyszalnym powiedział:

— Ja do pana naczelnika. Przytulak Jan z kina jestem — wyrzucił to z siebie jednym tchem, jakby się bał, że sekretarka każe mu czekać za drzwiami w ciemności, której nauczył się prawie na pamięć.

— Będzie pan uprzejmy wejść dalej — powiedziała sekretarka.

Przytulak zauważył drobny uśmiech na jej wydętych wargach. Może tylko tak mu się wydawało,

może było to szyderstwo, ukryta kpina, żart z jego zagubionej nieśmiałości i nieporadności.

— Naczelnik od godziny czeka na pana, a miało być natychmiast.

Zaczerwienił się, nic nie powiedział.

— Śmiało, niech pan wchodzi.

Czeka na mnie? O, rzeczywiście musi mieć pilną sprawę, ale już wczoraj mógł kazać przyjść do siebie, mógł też sam przyjechać do kina, wie, gdzie mieszkam, bo to jego sprawa, nie moja. Nawet kurtki nie każe zdjąć — pomyślawszy to, obejrzał się za siebie: sekretarka ciągle się uśmiechała i kiwała głową, jakby wstrzymywała go, ale przecież on musi wejść do pokoju naczelnika. Wyszukał wysepkę drewna między dermą i delikatnie zapukał.

— Niech pan wchodzi. Śmiało, panie kierowniku.

Drzwi się nagle otworzyły, stanął w nich rozpromieniony, szeroko unoszący ramiona naczelnik, niby inny niż ten, którego Przytulak zna, jeszcze grubszy i wyższy.

— No, jesteś, jesteś nareszcie. Jakoś długo ci zeszło? — Usłyszał całkiem obcy głos, chociaż widział przed sobą nalaną, pełną wałków, zagłębień twarz naczelnika.

— Tak, jak pan naczelnik sobie życzył. Za szybko nie mogę chodzić, noga...

— A co, co, noga szwankuje?

Nie wiedział, co Gnida ma na myśli mówiąc: szwankuje. Takie obce słowo i trudne do zapamiętania, słowo na pewno urzędowe, modne. Odrzekł cicho, żeby sekretarka nie usłyszała:

— Nie.

— Powiedz, Jasiu, jak ci teraz idzie. Po festiwalu, prawda? Dobrze, że się ten burdel skończył.

Acha, ma coś do mnie; pytanie: co? — spytał sam

siebie. Zastanawiał się, spoglądając na przypominający zwitek pajęczyny żyrandol sięgający biurka, po co naczelnik go wezwał. — Mhy, w takiej dobroci żyje mój naczelnik, to i nie dziwię się, że nie widać go ani na drodze, ani nad jeziorem. Tam zaraz ludzie obępują, każdy idzie po swoje, z krzykiem, że spokojnie przejść nie można, wołają o nic, ale wołają, bo takie ich prawo. A tu ciepłutko, czyściutko, miłutko, za plecami kwiaty, firanki delikatne, przezroczyste jak mgła nad jeziorem, na ścianach tapety w esy-floresy, tylko być naczelnikiem, i pieniądze na pewno duże, i władza ogromna. — Pomyślał jeszcze i samokrytycznie stwierdził, że takie miejsce nie dla niego. Gdyby już musiał zostać naczelnikiem, też siedziałby w fotelu za biurkiem, w jednej ręce uciskałby słuchawkę, w drugiej cenny, zagraniczny długopis, najlepiej pióro wieczne takie, jak ma redaktor Nikoczek piszący w jego kantorze artykuł o festiwalu dla jakiejś gazety warszawskiej. Festiwal dawno się skończył, po kwiatkach przed barem nie ma ani śladu, a Nikoczek ciągle pisze i pisze. Po każdym festiwalu redaktor zostaje dłużej, najpierw w hoteliku, potem przenosi się z walizką do kantorka, i pisze, bo artykuł czyta dużo ludzi, trzeba więc długo pisać. Przytulak wie o tym od naczelnika. Zdarzało się, że Przytulak wchodził do baru zobaczyć, czy czasem ktoś przyjechał z województwa, wtedy spotykał redaktora z naczelnikiem, najczęściej pili kawę lub lemoniadę, nigdy wódkę. Bo i za czyje pieniądze? Redaktor goły jak święty turecki, a naczelnik po festiwalu zamyka kasę i przestaje fundować. Mówią, że wieczorem naczelnik odwiedza redaktora w kantorku. Bzdury! Ludzka zazdrość tych, którym redaktor nie mówi: dzień dobry. O czym mieliby obaj rozmawiać? Dosyć nagadają się w barze.

— Strzelisz jednego, Jasiu? — Nim Przytulak

zdążył kiwnąć głową, naczelnik już trzymał w palcach dwa kieliszki. — Nasze kawalerskie. No, w górę serca!

— Pomyślności, panie naczelniku.

Wytrząsnąwszy resztki wódki na karminowy dywan, postawił swój kieliszek na brzegu lśniącego biurka. Nie wiedział, jak się zachować, teraz najchętniej wyszedłby w ciemną czeluść korytarza, lecz nie mógł tego zrobić. Skoro już wszedł, musi rozmawiać i przytakiwać, i kiwać głową.

— Schowajmy. Jeszcze ktoś wejdzie, zauważy. Sam wiesz, co ludzie mówią o władzy ludowej — roześmiał się Gnida pokazując szczerbate dziąsła. — W gminie ino wódkę chlejo!

— Za czyje? — spytał Przytulak i zaraz odpowiedział: — Za swoje.

— To ty wiesz, boś swój chłop. Im — ręką pokazał na strome i płaskie, przysypane zrudziałymi, przegniłymi już liśćmi dachy domów, w których kryli się jego ludzie — nie wytłumaczysz. Myślą, że naczelnik nic nie robi, ino patrzy, z kim i za czyje wychlać. Ludzie swojego nawet z bliska nie widzą, a cudze zauważają za zamkniętymi drzwiami. Ale co my o bzdurach... Jak ci idzie? Potrzebujesz czegoś ode mnie? Węgla starczy? Mów, śmiało, Jasiu.

Czego on chce? — mełł w myślach. — Czegoś chce, tylko czego? Bo by bez powodu kazał mi tu przyjść? Bo ja, kierownik kina potrzebny tylko przy okazji festiwalu, mogę mu w czymś pomóc? Przecież też był kierownikiem to i wie, że zimą kino puste, ziąb ciągnie ze wszystkich stron, ogrzewanie popękane, buda stara, której nic już nie pomoże, nawet remont. Kino być musi, nie dla nas, dla tych z festiwalu. Co by było, gdyby w Chłopimocie kino zamknięto? Naczelnik zwolniony, nowy sekretarz. Do tego nie

dojdzie; latem ciepło, to i ci z Zielonej Góry niewiele widzą.

— Węgla będzie najwyżej na dwa-trzy tygodnie. Czym dalej palić? Chyba przyjdzie się zamknąć budę?

— spytał niepewnie i zaraz tego pożałował.

— Nie martw się, prezes wspomógł.

Przytulak dobrze wie, co oznacza: wspomógł, nie raz przychodził do spółdzielni i prosił, błagał prawie na klęczkach, już nie o węgiel do kina, lecz do swojego domu. Żona klęła, wyzywała go od ciamajdów, siubzdziów, niezarajdów, wskazywała magazyniera, leśniczego, a on co mógł? Najwyżej wysłuchać, pokiwać głową, bo wyzalić się nie miał komu. Wieczorem przynosił z lasu okrucieństwa drewna, wpychał je do pieca i dmuchał, żeby nie zgasł ogień. Spróchniałe, nasiąknięte deszczem drewno, zamiast owijać się jęzorami płomienia, syczało jak wściekły kot.

— Przed samym festiwalem musimy wymalować kino, będzie jak nowe. Zobaczysz, zaskoczymy ich.

— Malowanie dyrektor ma w planie. Maluje każdego roku.

— Niorce wierzysz? A bo to raz ci obiecywał?

— Wszystko, co mówił, co obiecywał...

Naczelnik nie słuchał, ciągnął dalej:

— No widzisz. Oni tam, w województwie, tylko myślą o sobie i dbają o własną skórę. Przy Doboszu obiecywał, a...

— Nie, panie naczelniku. Na ten przykład nowe fotele.

— E, co tam fotele — obojętnie machnął ręką trochę zgniewany Gnida. — Zapalisz? Ja ci mówię, ja, naczelnik gminy Chłopimost: kino wymalujemy sami, w czynie społecznym. A węgiel?... Tu mamy prezesa. Tak kochany, chce pozwolenie na budowę willi? Chce. No to musi coś poradzić. Trochę odbierze chło-

pom. A bo to muszą dostać wszystko? I mamy węgiel. Nie znam, Jasiu, sytuacji bez wyjścia. Nie znam.

Przytulak już nic nie mówił, siedział w pulchnym fotelu na wprost naczelnika i wpatrywał się w obraz wiszący na ścianie za przyżółkłą palmą, czekał, co będzie dalej, bo na pewno jeszcze coś musi być. Bez konkretnego powodu nie znalazł się w tym gabinecie, którego prawie nie zna. Ciągłe pamięta, że naczelnik ma do niego sprawę. Jeżeli ma, to zaraz musi powiedzieć.

— Przyszedł rolnik i chce rozmawiać z towarzyszem naczelnikiem. Nawet krzyczy, taki chamski — powiedziała sekretarka cały czas patrząc na Przytulaka tymi swoimi, jak dojrzałe śliwki, oczami. — Kazać poczekać?

— Mówiłem ci, zapomniałaś? Nie ma mnie dla nikogo. My tu z towarzyszem kierownikiem o ważnych sprawach, rozumiesz? Jutro przyjmuję interesantów!

— Ale on był zapisany na dziś. Tak mu wyznaczaliśmy termin. To Kazik od Kwiatków. Ten, co wziął Elżbietę leśniczego.

— Powiedziałem swoje! Jesteś wolna.

Przytulak skulił się w fotelu, myśli kłusowały mu po głowie jak żrebaki na majątkowych łąkach, nic nie rozumiał, wiedział tylko, że mają rozmawiać o czymś bardzo ważnym. O czym? Tego nie mógł rozstrzygnąć, choć był zawsze podejrzliwy.

— Kto załatwił cię podwyżkę? Może Niorko? — Nie czekając na odpowiedź ciągnął Gnida dalej: — A widzisz, Jasiu. Jeśli naczelnik nie ujmie się, to nikt nie kiwnie nawet palcem. Takiemu Kwiatkowi, psia jego mać! wystarałem się o traktor, a on, wiesz co? Ze skargą na mnie do komitetu... Naczelnik jest dobry w potrzebie. Albo Kwarta... Wyborek, chociaż kolega

z lasu, grozi, że... E — machnął ręką Gnida i wydał mięsiste usta.

Ma rację, bo przecież pisał listy do zjednoczenia, wołał, dyrektora Niorkę zapraszał do siebie na kawę, wszyscy widzieli przed urzędem czarną wołgę, zastanawiali się, pytali sekretarkę, lecz ona nic, kawę tylko parzyła. Kto napisał wniosek o krzyż zasługi, na razie brązowy, mało znaczący, zawsze jednak wyróżnienie, które może przypiąć do munduru, paradować po Chłopimocie i cieszyć się? Kto? Czy oni w województwie dostrzegliby jakiegoś Przytulaka, sierżanta w stanie spoczynku? Jeśli by dostrzegli i przyznali krzyż, to tylko taki, jaki im został, bo najpierw dzielą między siebie, dopiero potem ustawiają innych w rzędzie, na samym końcu, i szybko przypinają, jakby się im paliło.

— Jest ważna sprawa, Jasiu. — Powiedziawszy to, Gnida znowu wydał wargi w głębokim zastanowieniu, czoło zmarszczył, powieki przymknął jak ksiądz podczas Podniesienia, długo milcząc siedział tak prawie nieruchomy i sztywny.

— Ważne sprawy są zawsze. Pan naczelnik ma ich najwięcej. — Przytulak podniósł się pewnie, zrobił ostrożny ruch ręką, ponownie usiadł i to tak, jakby teraz wszystko zależało tylko od niego. — Mogę panu pomóc?

— Masz pieczątki? — W głosie naczelnika wyczuwało się niepewność.

Z kieszeni kurtki kierownik wyjął papierowe zawiniątko, powoli rozwijał je na stole, jakby były to ważne dokumenty, a nie wyczytana gazeta.

— Obie, jak pani sekretarka kazała.

— Widzisz, moja Maria... Co ci mam tłumaczyć? Porządnie wychowałeś dzieci, żyją po ludzku, na stanowiskach, to i sam najlepiej wiesz, że każdy ojciec...

— Chciałby dla dzieci jak najlepiej — dokończył uradowany. — Moja Hanka rozwodziła się, wracała do niego, złego słowa nie powiem o zięciu, bo wina była zawsze po stronie Hanki. Filmowiec jej się spodobał, ale córki nigdy nie skrzyczałem, chociaż należało się. Pamięta pan, ksiądz wytykał z ambony, że ja... Teraz dobrze żyją, głupoty wywietrzały z głów. Czasem Hanka przyjeżdża do mnie... Na dzieci trzeba mieć swój rozum: pomóc, ale i żądać od nich.

Naczelnik chciał mówić, lecz Przytulak jeszcze nie kończył. Zrobiwszy krótką przerwę, szeroko otworzył usta i już się nie odezwał, naczelnik go wyprzedził.

— Moja Maria musi studiować. Jasiu, takie czasy. Ja do niej nie mówię: Marysia, Mania, tylko: Maria. Takie czasy... W zeszłym roku nie udało się na medycynę. Może za mało umiała? Może? Nie jestem aż taki mądry, żeby wiedzieć, ile powinna umieć. Oni tam, w Poznaniu... no, jak w łapę nie dasz habara... sam dobrze wiesz.

— I ja dawałem — zgodził się Przytulak.

— W Zielonej Górze są takie studia, akuratne dla mojej dziewczynki; kultura czy coś podobne, o, nieważne jak się nazywają. Ważny jest ten papierek. U nas bez papierka jesteś nikim. Pamiętasz, jakeś sam to przeżył? Ja oświadczyłem w sądzie, żeś skończył szkołę przedwojenną. Bo taka była potrzeba. Teraz ja potrzebuję twojej pomocy. Ona musi mieć ten papierek: magister Maria Gnida. Ładnie, prawda? O co my walczyli, no, o co? Żeby naszym dzieciom było lepiej. My obaj już się nie liczymy.

— Walczyli dawni, walczym i dzisiaj. Dzisiaj o lepszą... — urwał w połowie przypominając sobie, że kiedyś tak powiedział sekretarz, nie obecny, lecz poprzedni, ten, który czasem komitetowym fiatem przyjeżdża do Chłopimostu na zebrania.

— Kropla w kroplę takiś jak ja. To pomożesz, Jasiu — Naczelnik wstał, przenosząc z nogi na nogę ciężar ciała wolnym krokiem podszedł do okna i ciągnął dalej: Musisz pomóc. Na gminę jest jedno miejsce, niby ma to być pracownik od kultury. Zatrzymałem skierowanie u siebie. Żadne przestępstwo, taka potrzeba. Więc pomożesz?

— Bo ja wiem? Potrafię? — Usprawiedliwiał się Przytulak coraz pewniej rozsiadając się w fotelu, chociaż nie wiedział, na czym ma polegać jego pomoc.

— Potrafisz, potrafisz. Powiedziałeś, że masz ze sobą obie pieczątki...

Przytulak kiwnął głową.

— Bo widzisz, do tej szkoły potrzebny jest papierek.

Co to dla ciebie — Gnida położył na stoliku czystą kartkę. — Pisz pod moje dyktando: Kierownictwo kina szerokoekranowego „Druh” w Chłopimości zaświadcza, że obywatelka Gnida Maria jest, jakby tu powiedzieć, pracownicą tutejszej jednostki. Społecznie udziela się przy festiwalu, który przynosi wielkie zaszczyty naszej gminie i województwu.

Przytulak wyprostował się, nie pisał, siedział ciągle patrząc w żyłki na twarzy naczelnika, coraz czerwieniejąc, jakby za moment miały pęknąć.

— Ale to...

— Jasiu, Jasiu — powtarzał, uśmiechając się przymilnie, Gnida. — Jasiu, musisz pomóc. Do kogo pójde? Ta z domu kultury sama chciałaby studiować. Wiesz dobrze, jaka jest. Zwolnię, psia jego mać! bo żadnego pożytku z niej nie ma, dobrej zabawy nie organizuje, kombatanów nie zaprosi na spotkanie ze społeczeństwem, tylko wystawy i dyskusje jej w głowie. Za państwowe pieniądze... — Wstawszy położył rękę na ramieniu kierownika. Nie wiedział, co ma jeszcze powiedzieć, dodał cicho: — Odwdzięczę się.

— To karane, panie naczelniku. Mnie już raz...

— Kto się dowie? Myślisz, że ja pierwszy? Nie pierwszy i nie ostatni. Byłeś w potrzebie? Byłeś. Pomogłem? Pomogłem.

— Ale... Ja nie chcę siedzieć, panie naczelniku.

— Za to? Za jeden głupi papierek? Jasiu...

— Mnie nie wolno. Przysięgałem...

— Załatwiłem ci krzyż zasługi? Załatwiłem podwyżkę? Zrób coś chłopie, dla mnie!... Co się tak patrzysz? Miałeś kłopoty, zjednoczenie nie słuchało cię, a ja zawsze, chociaż nie musiałem. Nie musiałem, Jasiu.

Wyjawszy z szuflady te same dwa kieliszki, z których przed chwilą pili wódkę, naczelnik ponownie postawił je na stole i po brzegi napełnił żytniówką. Zachęcając Przytulaka do wypicia, szybko wypróżnił swój kieliszek. Kierownik całkiem zagubiony w płataninie myśli, spocony, wylekniiony nie wiedział, co robić. Wypiłby teraz nie jeden kieliszek, lecz całą butelkę i to bez odrywania ust od szyjki. Patrzył daleko przed siebie, widział falistą taflę jeziora, wędkarzy po kolana stojących w czystej wodzie i beztrąsko wpatrzonych w spławiki, samochód po drugiej stronie drogi. Siedział tak i nie umiał odmówić ani też nie mógł napisać zaświadczenia. Bał się.

— Musimy sobie pomagać. Co, kierownika szkoły poproszę, tego gówniarza, który straszy mnie kuratorem, bo nie ma węgla w szkole? Jego? Tobie...

Nie musiał kończyć. Przytulak zgiał kark nad stolikiem, podniósł rękę wysoko, głowę przechylił, pieczętki odsunął na skraj. Pisał.

— To tylko papierek, Jasiu.

SPADKOBIERCY

Całą długą drogę uważnie obserwował niskie domy wygrzewające się w jeszcze skąpym słońcu wiosennym. Syn, przypięty mocno pasem bezpieczeństwa, siedział obok Hanki, czasem odwracał się i pytał ojca, czy pamięta jeszcze te wsie ciche, gospody, drogi, czy właśnie był tutaj. Stary ani razu nie odpowiedział, zastanawiał się, kogo Hanka mu przypomina. Musi kogoś przypominać, skoro już na cichej, pustej stacyjce w Lubniewie dostrzegł jej niezupełnie mu obce rysy twarzy. Męczyło go to strasznie, ale nie miał odwagi spytać tak po prostu. „Może tylko zdaje mi się? — mełł chytrymi myślami. — Podejrzenie, wątpliwość?” Hanka tymczasem ostrożnie prowadziła trabanta wąską asfaltówką i jakby wcale nie zwracała uwagi ani na Zygmunta, ani też na starego. Przedzierając się przez tunel lasu odwróciła głowę na prawo i uśmiechnęła się, ukazując cały garnitur zębów jakby obleczonych w białe, dobrze wykrochmalone płótno.

— Uważaj! zakręt — krzyknął przestraszony Zygmunt, a stary kurczowo chwycił się oparcia fotela.

— Znam tę drogę na pamięć — powiedziała do obu. — Za zakrętem będzie jeszcze jeden zakręt, roz-

widlenie na Błota, później znowu zakręć, a za ostatnim...

— Skręć w prawo — przypomniał sobie Zygmunt i delikatnie położył rękę na kolanie Hanki. — Piękne są Łużyce. Najpiękniejsze. Piękniejsze niż Weimar czy Las Turyński. Tata się ze mną zgadza?

Stary był zaniepokojony, wcale nie zważał na zachwyty syna, ciągle wpatrywał się w zabudowania. Było to pozorne odciąganie myśli od najważniejszego, które samo musi się wyjaśnić. Naraz dostrzegł wielki dom mocno przykucnięty tuż przy wstążce szosy. „Jeżeli za podwórzem będzie sad jabłoniowy, za sadem równina pól przeciętych strumykiem z wierzbami po obu stronach...” Miał rację, strumyk wił się aż do lasu olchowego, zawracał i już za wsią dotykał szosy. „To tutaj. Tutaj na pewno — powiedział w myślach. — Dwa lata uciekania i mordęgi. A gospoda?” Zastanawiał się, czy gospoda była na początku wsi, czy z drugiej strony, obok cmentarza i kościoła. „Tyle lat, mogłem zapomnieć” — wytłumaczył sam sobie i jakby z melancholijnym rozrzewnieniem, ale zaraz kino pamięci przywołało ciepłą wiosnę, przylot bocianów i szybkie pożegnanie z Wórszą. To imię, chociaż trudne do zapamiętania, potem wymawiał dość często. Którejś nocy żona zbudziła go ze snu i spytała, czy nie jest chory. Zawstydzony nakrył się pierzyną, ale długo nie mógł zasnąć.

— Szczęśliwie dojechaliśmy na miejsce — oznajmiła Hanka zatrzymując trabanta tuż przy rozdzielonej furtce.

Gdy się wygramolili z auta, Zygmunt pomógł staremu zapiąć płaszcz, ręką przygładził trochę rozwichrzone włosy, Hanka zaś sprawdziła zapas benzyny w baku. Stali tak może minutę, może dłużej, czekali, aż

ona zatrzaśnie drzwiczki auta i poprowadzi ich na podwórze, stamtąd do domu.

— Jak się panu podoba? — spytała Hanka wskazując kiszkowatą, uprzątniętą szosę i przyklejone do niej niskie domki, zręcznie maskujące swój prawdziwy wiek.

— Ładnie — pochwalił stary i raz jeszcze, nie wiadomo który, spróbował przypomnieć sobie, kogo dziewczyna mu przypomina. Teraz mógł do woli obserwować ruchy Hanki, gesty długich rąk, mimikę jasnej, trochę bladej twarzy. — Pani tutejsza? — zapytał i zaraz pożałował tego, gotowa jeszcze pomyśleć, że coś go gnębi.

— Tutejsza, tutejsza. Cała rodzina Frenclów tutejsza. Mój dziadek odziedziczył gospodarstwo po swoim dziadku, tamten dziadek po jeszcze wcześniejszym dziadku...

— Jak w tej rosyjskiej bajce — śmiejąc się przerwał jej Zygmunt.

— Mama urodziła się w sąsiedniej wsi, przejeżdżaliśmy tamtędy. Ten wielki dom wtedy pana zaciekał. Kiedyś należał do Bulanga. Kiedyś... to znaczy przed wojną i w czasie wojny.

— Do Paula Bulanga — rzekł stary. — Paul Bulang miał trzech synów: Antona, Christiana i Paula.

— Skąd pan o tym wie? — zaciekała się nagle.

— Ja...?

— Podobno Anton mieszka w Bawarii... Przepraszam, pan znał Bulangów?

Stary nie odpowiedział, a ona już nie powtórzyła pytania. „Anton w Bawarii, a co z Christianem? Młodszy, Paul, może to Anton?” — plątały mu się myśli.

Hanka wzięła Zygmunta pod ramię i obu poprowadziła do domu. Na ganku już czekała pani Frenclowa.

— Mamo, to jest ojciec Zygmunta — powiedziała Hanka stając na schodach tak, by stary miał przed sobą jej matkę.

— Dzień dobry. Frenclowa. — Wyciągnęła drobną dłoń do powitania.

Stary pochylił się nisko, w jednej ręce trzymał kapelusz, drugą zaś ujął jej dłoń i pocałował.

— Nie trzeba — niby się broniła.

— To taki polski zwyczaj — Zygmunt pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Bardzo miły zwyczaj — pochwaliła Hanka. — A mnie? — i wyciągnęła rękę do Zygmunta.

Zygmunt jakby się zakłopotał, przez moment nie wiedział, jak się zachować; najpierw pocałował dziewczynę w dłoń, nie chyląc głowy jak stary, tylko patrząc prosto w jej zielone oczy, a potem nastawił swój policzek. Hanka delikatnie go musnęła. A potem już odważny Zygmunt złożył swój najprawdziwszy pocałunek na jej lekko rozwartych ustach.

— Młodzi — stwierdził stary, ruchem głowy wskazując syna i Hankę. — Młodzi nie znają żadnych granic. Nie dzielą ich ani języki, ani religie, nie różnią ich najtrwasze obyczaje. Młodzi lepiej się rozumieją niż my, starzy.

— Ojciec niekiedy lubi zabawiać się w polityka — rzekł Zygmunt.

Stary tego jakby nie dosłyszał. Chwilę wpatrywał się w Hankę i panią Frenclową, szukał podobieństwa, a ono było prawie wszędzie. Identyczny wykrój wąskich, trochę za wąskich ust, te same dołki w policzkach, zielonkawe oczy przysłonięte gęstymi firankami rzęs, nawet uśmiech podobny. Chciał, aby pani Frenclowa właśnie teraz zrobiła mały krok, porównałby ich chód.

Umyli ręce w ciepłej wodzie, weszli do pokoju,

wtedy Zygmunt rozpakował torbę podróżną i wyjął z niej dwie laleczki — Lubuszanina i Lubuszanke.

— Dziękuję ślicznie. — Pani Frenclowa przyciągnęła Zygmunta do siebie jak matka syna. — Piękny prezent. Polskie stroje?

— Najprawdziwsze. Z Zielonej Góry.

— Wiele podobieństwa do ubiorów łużyckich, prawda mamó? — Teraz Hanka przyglądała się laleczkom. Bawiła się nimi jak mała dziewczynka. — Czerń, czerwień i ten chaber najżywszy.

— Bliskość kultur słowiańskich — krótko skwitował Zygmunt, pokazując na koronkowy czepek Lubuszaneki.

Przy obiedzie stary spostrzegł, że pani Frenclowa przygląda mu się bardzo uważnie, nie robi tego wprost, ale gdy wychodzi do kuchni, zatrzymuje się w drzwiach i wpatruje się, nie w Zygmunta, lecz właśnie w niego. Niby nie zwracając na to żadnej uwagi, powiedział, że lubi dobre jedzenie, szczególnie kiedy może kosztować aromatyczne piwo. I jakby na potwierdzenie tego chwycił butelkę ze stołu, odczytał: Cottbuser Bier, a potem nalał tylko sobie całą szklanekę, aż piana kozuchem spłynęła na biały obrus. I się zawstydził.

— Radeberger podobno lepiej smakuje? — przypomniała Hanka Zygmuntowi, kładąc przed starym serwetkę. — Pamiętasz, jak mnie zapraszałeś „Pod Białego Łabędzia?” Wie pan, lubiłam tam chodzić nie dlatego, że była to restauracja z tradycjami historycznymi, ale że zapraszał mnie Zygmunt.

Stary nie wszystko dobrze rozumiał. Dokładnie wsłuchiwał się w każde słowo, więcej się domyślał niż słyszał. Przecież prawie czterdzieści lat był z dala od języka niemieckiego, a i wtedy nauczył się niewiele, opanował jedynie podstawowy zasób słów, tyle tylko,

ile potrzeba, żeby przetrwać. Czasem słyszał jakieś zdanie po łużycku, wydawało mu się, że jest w Polsce, ale tych zdań było tak niewiele, jeszcze mniej niż nadziei.

Po trochę wystawnym obiedzie młodzi ubrali się ciepło i poszli na spacer. Pani Frenclowa zebrała naczynia ze stołu, umyła je w kuchni, a kiedy zegar wydzwonił trzecią, zaprosiła gościa na ciasteczka i kawę. Stary nie miał już wielu zębów, toteż z trudem chrupał ciasteczka, bał się, że jeśli odmówi, pani Frenclowej będzie przykro.

— Moja starsza córka mieszka w Budziszynie — poinformowała gospodyni, chociaż stary o nic nie spytał. — A pan, ile pan ma dzieci?

— Też dwoje. Córka jest lekarzem, Zygmunt... On sam jeszcze nie wie... — Nie skończył, urwał w połowie, bo dopiero teraz przypomniał sobie, że nigdy nie rozmawiał z synem o jego przyszłości. — Kim jest pani córka? Myślę o starszej — dodał uśmiechając się.

— Nikim wielkim. Pracuje w sklepie. Jako sprzedawczyni.

— Też dobry zawód — pochwalił cicho.

Zamilkli na chwilę, bo wydawało im się, że ktoś puka do drzwi. To tylko wiatr zbierał zeszłoroczne liście i uderzał nimi jak batem w drzwi, w okiennice, świszczał i niepokoił. Stary już otwierał usta, gdy przypomniał sobie prośbę syna, by nie zadawał zbyt wielu pytań. Pierwsze odwiedziny muszą pozostawić w pamięci drobinę niedopowiedzenia. Dopiero przy następnych można sobie pofolgować.

Podobało się staremu: cisza, ciepły, duży i wygodny dom. Nie lubił tych nowoczesnych mebli, w których same drzwiczki i szafki. Zawsze mu się myliło, nie pamiętał, gdzie córka układa jego koszule,

gdzie skarpety. Chciałby po swojemu, wszystko trzymać na jednej półce, blisko łóżka.

— Od dawna pani mieszka samotnie? — zagadnął, bo wydawało mu się, że tak dłużej nie powinni milczeć. Pani Frenclowa gotowa źle to zrozumieć.

— Cztery lata temu... Jurij chorował na serce... Akurat Hanka zapisała się do konserwatorium w Weimarze... Ciężko kobiecie... Cóż ja...? — rozłożyła ręce. — Nawet maszyny nie są wieczne.

— Prawda — zgodził się i potrząsnął głową. — Bo ja też jestem samotny. Żona zginęła w wypadku ulicznym, przechodziła plac... Zawsze mówiłem, żeby uważała, bo wielkie miasto to nie nasza wieś. Dopóki córka studiowała, myśmy mieszkali na wsi, ale potem córka powiedziała, że kupi większe mieszkanie. Dała nam jeden pokój, ale zaraz pierwszego dnia żona...

— Mój Jurij długo się nie męczył. Położył się spać i już się nie obudził.

Znowu milczenie. Słysząc warkot aut przemykających asfaltówką w kierunku Lubnjowa, krzyki dzieci hurmem ciągnących na szkolne boisko, ryczenie krów i szczebiot pierwszych ptaków wiosennych. „Czyżby to była Wórša? — zastanawiał się, ukradkiem obserwując profil jej małej, zmęczonej twarzy. — Jeśli spytam, przypomnę, mogę ją urazić. Wiele kobiet na zawsze zachowuje urodę młodości”.

— Wysłałam za mąż zaraz po wojnie. Jurij wrócił bez nogi, ale cały. Po co ja to panu opowiadam? Wyście...

— Tak, myśmy tę wojnę aż za dobrze zapamiętali. Nie potrafimy zapomnieć o niej ani przez chwilę. Czterdzieści lat, a ja jeszcze słyszę wybuchy i widzę twarze pewne siebie.

— Pan...?

— Nie walczyłem z karabinem w rękach. Ja się

ukrywałem. To niczego nie tłumaczy. Spośród was też nie wszyscy... — urwał i napił się już ostygłej kawy. — Proszę pani, mnie nurtuje... Mam wątpliwości... Niech mi pani wybaczy ciekawość... — Plątał się, nie umiał powiedzieć tego, co go zastanawia od rana, a co spotęgowało jego wątpliwości w tym wielkim domu.

— Nie winię Jurija. On na pewno nie chciał... Niewiele z nas chciało... Czy ktoś pytał, czy nas...?

— Ja nie o tym. Nurtuje mnie pytanie bardzo osobiste — ale niczego nie powiedział.

Frenclowa była przekonana, że stary chce spytać o jej męża. Niewiele wiedziała, nigdy o tym nie rozmawiał z Jurijem, zresztą nie odpowiedziałby. Taki on był: zamknięty w sobie i uparty, i zawzięty. Pamięta tylko, jak Anton Bulang przysłał list z Ulm. Jurij rozerwał kopertę, szybko przebiegł wzrokiem zapisany arkusz kremowego papieru i powiedział: świnia. Co było w liście, nie wyjaśnił, a ona nie miała odwagi spytać.

— Czy...? No, czy...?

— Marian?

— Tak, to ja. Tyś Wórša, czy, jak to się wtedy mówiło, Ursula? — Z kieszeni marynarki wyjął paczkę papierosów, ale ręce tak mu drżały, że nie mógł zapalić zapalki.

Pani Frenclowa nisko zwiesiła głowę na piersi, jakby się czegoś wstydziła. O czym teraz myślała, czy odtwarzała słowa sprzed blisko pół wieku, stary tego nie wiedział. Dopiero po dłuższej chwili odezwała się cicho:

— Uciekłeś bez pożegnania. Dobrze, Marian, dobrze zrobiłeś, uciekając. Ja nie miałam dokąd uciekać... Dobrze, Marian...

— Uciekłem... Wórša. — Wstał i wyszedł na podwórze.

Cieszył się i przeklinał. „Po co tu przyjechałem? I tak niczego nie zmienię. Zresztą, nie ożeniłbym się z nią. To było niemożliwe. Niemożliwe... Nie ja decydowałem o sobie, lecz oni: Frau Bulang Grossvater Bulang, nawet Paul, póki żegnany wiwatami w gospodzie nie poszedł na front wschodni. Każdy mógł mnie oskarżyć i zabić. Sądy były zbyt skuteczne”. Stał oparty o pień starej lipy i palił papierosa za papierosem. Na łące pod lasem olchowym klekotał bocian. Naraz poczuł lekkie dotknięcie w łokieć, nie odwracał się.

— Długo myślałam o tobie, Marian — powiedziała Wórśa biorąc go pod ramię. — Dopiero po wojnie zrozumiałem, że musiałeś uciekać. Marian, pamiętasz...? — pokazała w stronę lasu.

— Nie przypominaj. — Chciał powiedzieć, że dobrze pamięta, pamięta każde drzewo, każdą kępę trawy, wszystko pamięta. — Młodość nie wraca jak pory roku ani jak te bociany. Ty i ja wychowaliśmy swoje dzieci, doczekaliśmy emerytur, co nam jeszcze potrzebne?

— Kiedy stanąłeś na podwórzu, od razu poznałam cię, ale nie miałam pewności. Nie wierzyłam, że po latach można kogoś spotkać — przyznała się Wórśa.

— I ja. — Uśmiechnął się do niej po dawnemu. — Chodźmy do domu. Zaraz wrócą nasze dzieci.

Przytaknęła.

— Cieszę się. Nie udało się nam, niech oni będą naprawdę szczęśliwi. Kiedy Zygmunt powiedział, że poznał twoją Hanke, nie od razu zaakceptowałem jego wybór. Co to, w Polsce nie ma pięknych dziewcząt? spytałem. A on na to: są. W Polsce nie ma takiej Hanki.

Pani Frenclowa wyjęła z komody album ze zdjęciami. Stary rozpoznawał ludzi, których nigdy więcej już nie widział. W pewnej chwili chciał spytać, czy

zachowała swoją fotografię z tamtych lat, ale się wstrzymał. Po co przypominać przeszłe, które tylko drażni i boli? Wiedział i rozumiał, że o przeszłości można nic nie mówić, nigdy jednak nie należy o niej zapominać. Przeszłość to lekcja pogładowa przyszłości. Wiedział też i pamiętał, że taka przeszłość obca jest Zygmuntovi i Hance.

Naraz oboje równocześnie usłyszeli ciche szmery na ganku, a potem rozległ się śpiewny głos Zygmunta:

*Hanka, budź wjesoła,
holičo rjane, holičo rjane.
Runjež by njesyła zoruješko žane,
runjež by njesyła zoruješko žane.*

— Od kiedy to, Zygmunt, śpiewasz po łużycku?
— spytała pani Frenclowa.

— Śpiewam po łużycku, kocham po polsku. — I na dowód tego ucałował panią Frenclową, ojca, na końcu zaś, jakby w skrępowaniu, mocno przytulił Hankę do piersi.

Gdy Frenclowa i stary znacząco mrugnęli do siebie, Zygmunt pocałował Hankę w usta, długo i inaczej niż w chwili powitania na ganku.

— Młodzi — stwierdził stary zadowolony już.

— I myśmy, Marian, byli młodzi — dorzuciła pani Frenclowa. — Myśmy też się kocha... — urwała spoglądając na Hankę i Zygmunta, lecz oni jeszcze trwali w szczerym pocałunku. — Pomożesz przygotować kolację?

1982 r.

POSTANOWIENIE

Dwa i pół tysiąca rozwlekłych nocy przyrzekałem sobie, czekałem; wymyśliłem wszystko, ułożyłem w najdrobniejszych szczegółach, ale nie zapisałem tego na żadnym papierze, żeby Bokser nie dorował, w zamkniętej przed wszystkimi mózgownicy trzymałem tę listę, punkt po punkcie. Nie miała to być zemsta, lecz tylko postanowienie. „Konus jesteś. Jak ty wytrzymujesz? Mówią, że konusy mają do kolan, he, he, he!” — Bokser laził za mną i dopiekał każdego dnia. Nie bronilem się. Więzienna obrona dużo kosztuje. Moje najważniejsze. Dałem sobie słowo, że muszę. Niech nawet wrócę tam. Za gwałt. Muszę dotrzymać słowa. Co by kumple powiedzieli? Mięczak? Streflił? Siedem lat kibla, a ja jak galareta?

Autobus numer 21 zatrzymał się na przystanku przy ulicy Bohaterów Westerplatte. Jedną nogą już byłem w środku, wycofałem się. Pamiętaj: postanowienie. Co znaczy twoje słowo? — spytało coś i pchnęło mnie do autobusu. — Przysięgałeś, ssaleś palce, zęby zaciskałeś, kiedy Bokser kpił z ciebie. Postanowiłeś, że dziś musisz.

Z okurzonego pociągu podmiejskiego wysypał się tłum gastarbajterów. Biegną, jeszcze zaspani, trą za-

ropiałe oczy. Twarze pomięte, nie ogolone. Wszyscy pędzą do autobusu. Gdzie ona? Musi być. Robi przecież w szpitalu. Może Bokser tylko tak beblał?, Co, nie miałby żadnej baby? By blefował? On siedzi w kiciu, a ona gździ się po kątach. Wytrzymałaby siedem lat bez chłopa? Byłaby głupia, gdyby trzymała dla Boksera. Jeśli jest między gastarbajterami, skulona wsia-da do autobusu, w kąciku popychana kładzie szminkę na wąskich ustach, podczernia oczy? Wcześniej wstaje to i nie zdąży obejrzeć się w lusterku. Nie, na pewno zauważyłbym ją. Czyżby nie przyjechała? Chora? Urlop? Może robi w innym szpitalu?

W barze „Plastus” kupiłem duże mleko i dwie suche kajzerki. Smakowało. Od wczorajszego obiadu nic nie jadłem. Wieczorem zapomniałem o głodzie, chociaż w brzuchu bulgotało. Jak mogłem zapomnieć? Niektórzy wytaczając się na słońce za bramę przyrzekają, że pierwszy krok postawią w najbliższej mordowni, nażrą się, przebiegną setkę za spokojne kiblowanie kompanów, bekną uczciwie. Mam ich gdzieś. Swojego muszę dotrzymać. Kim byłbym, gdybym rzucał słowa na wiatr?

„Ty, Konus, kiedyś mi wpierdolisz”. — Zaraz pierwszego dnia, nie wiadomo dlaczego, stwierdził Bokser zawadiacko klepiąc mnie w ramię. Wtedy postanowiłem, że wytrzymam, zniosę tę zniewagę. Muszę wytrzymać! Niech się śmieje, niech mnie klepie. Ale pierwszą noc na wolności, to znaczy dziś, spędzę przy jego żonie. Choćby nie chciała, wrzeszczała, broniła się, choćbym miał wrócić do kicia, słowa muszę dotrzymać. Taki jestem. Moje słowo najważniejsze.

Poczekam do drugiej zmiany, poczekam nawet dłużej, ale tej nocy muszę ją mieć. Tylko tej nocy muszę. Kiedy będę z nią, powiem, że przynoszę pozdrowienia od Boksera. Niech myśli, że Bokser pamięta

o niej. Albo nie, przyznam się, że na złość Bokserowi musiałem ją mieć, właśnie tej pierwszej nocy. A jaka ona będzie? Czy spyta o Boksera? Jeśli nawet spyta, to odpowiem, że... Nie, nic nie powiem, tylko chwycę jej piersi i będę całował je, a potem jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz odnajdę to miejsce, które malowałem w ciemnym łóżku. I kiedy już zacznie świtać, spytam, czy pamięta swoją noc poślubną. A jeśli powie, że tamtej nocy się nie zapomina, to ja znowu, żeby zapomniała, żeby zapamiętała tylko mnie i moją złość, i moje wbijanie się w nią, i całowanie piersi, i wbijanie się, i całowanie, i wbijanie...

Ludzie się spieszyli, nikogo nie zauważali, pędzili przed siebie. Dokąd? Po co się spieszyć? Dzień dopiero wstał, do wieczora daleko. Czy oni wiedzą, dokąd zmierzają? Do pracy? Po samochody? Na wczasy? Jeśli tak, to dlaczego znienawidzili biura, fabryki, dlaczego klną na samochody i wywczasowiska? A może to najzwyczajniejsza podłość (przeszłe zapamiętały tylko martwe fotografie) i potrzeba ucieczki przed innymi? Kiedyś nie będzie dokąd uciekać, nikt nie wie kiedy, dlatego jeszcze każdy się spieszy wierząc święcie, że dostanie wygórowaną zapłatę za ten zbędny pośpiech.

Naiwny marzyciel. Zamiast przyglądać się sznurom domów, tyczkom hoteli, kluczom autobusów, myślę o innych, którzy nawet mnie nie dostrzegają. Ile znaczą w tej gęstwinie ludzi? Kogo interesuje moje postanowienie? A ona, gdyby była tą? spojrzalaby na mnie? Podłotek w wytartych dżinsach zatrzymał się, obejrzał wystawę, pokręcił zgrabnie kuperkiem. Zostałem sam wśród obcych ludzi.

Całe dopołudnie wałęsałem się po gęstych od tłumów ulicach, które ledwie rozpoznawałem. Ulice się zmieniły i domy też są inne, a czy ludzie w ciągu

siedmiu lat zmieniają się nie do poznania? Jak wygląda Mika? Czy jeszcze taka ładna, zadbana, powabna, jak całą pierwszą noc beblał Bokser? Taką ją zapamiętałem i takiej szukam.

„Noc poślubna trwała tydzień, brachu. Wyskoczyłem do kuchni ogolić brodę, bo kłuła Mikę, i od nowa. Ona potrafi się ubrać i rozebrać. Ma gust. Ale wolę Mikę bez koszuli. Piersi, brachu... A jaka cwana, jaka mocna. — Bokser niczego nie ukrywał, opowiadając rozpalał mnie do białości w coraz mocniejszym pożądaniu. Nie tylko mnie, inni też wybałuszali ślepią, otwierali pyski i słuchali jak zamroczeni. Chyba każdy czuł jej ciepło, dotyk miękkich ud, wypukłość jędrnych piersi. Taka dziewczyna się każdemu marzyła. — Widziałeś miastową, żeby chciała na wieś? Ona chciała. Do mnie. Całe Psiary gapiły się, jakeśmy w niedzielę szli do kościoła. Potrafiła się ubrać. Byle co założyła na siebie i już chłopcy z Psiar, Łęgu, Wrotek, nawet spod Wólki Kapłańskiej ślepią na nią, aż zacząłem się bać, że mi sprzątną kobietę”.

Muszę ją mieć. Tak postanowiłem tamtej nocy. Będzie leżała naga, z piersiami wielkimi jak kopki pachnącej trawy. Nogi rozrzuci szeroko ukazując to miejsce zaczarowane. Nogi podkurczy w kolanach i powie, że... Co ona powie? Powie, że... Spyta, czy się jej podobam. Nie odpowiem, tylko przyklekną, położę dłoń ostrożnie, by Mika poczuła moje ciepło i pragnęła mnie, jak ja jej. A potem wejdę w nią i będę, i będę... I raz, i dwa: i raz, i dwa. I jeszcze. I jeszcze. I ona będzie prosiła: jeszcze, jeszcze. I paznokcie wciśnie w moje plecy, a głowę wykrzywi w szczęśliwym bólu. Jeszcze, jeszcze.

Albo nie, Mika nie zechce. Więc ją przewrócę, zedrę majtki, bluzkę, nagą kolanami przygniotę do trawy i znajdę to miejsce, które przeglądałem na foto-

grafii pamięci. I sprawdzę, czy takie same. I też w nią wejść; i raz, i dwa, i raz, i dwa. A ona...?

Szedłem ulicą Chrobrego wahając się. „Dla mnie, Konus, zrobisz jedno: pięć minut posiedzisz w parku”. Nie pamiętam, czy nawet kiwnąłem głową. Na pewno nie przyrzekłem. Co Bokser zrozumiał, tego nie wiem. Pamiętam jedynie o swoim mocnym postanowieniu. Jakby tak, co mi szkodzi, czasu mam dużo, usiąść dla świętego spokoju, niech mu. „W parku poznałem Mi-kę, na ławce czytała książkę” — często powtarzał, jakby oglądał starą fotografię.

Kilka babć kołysząc się jak kaczki przyglądało się wnukom zbierającym miedziane liście. Poza tym w parku nikogo nie było. Wszystko ma swój kres — biegałem myślami — kiedyś musi się skończyć. A człowiek, czy wie, jak wygląda jego koniec? Śmierć wcale nie oznacza końca. Śmierć tylko przerywa nitkę życia.

Dopołudnie jakby się zastało. Sekundy ledwie mijały. Patrzyłem na zegarek, liczyłem czas, tyk-tyk, wskazówki tańczyły chodzonego. Pięć minut to bardzo dużo; jeszcze dwie minuty, jeszcze... Nagle postanowiłem, że dłużej nie będę siedzieć, pojadę do Psiar, poczekam na stacji. Nudził mnie park, drażniły dzieci, ludzie byli nieprzyjaźni, zgnuśniali, domy obrzydliwe, ten wielki hotel obok szpitala trząsł się jak osika. Wrzawa. Kurz. Przeciągi.

— Jeszcze dziś musisz być moja — powiedziałem sam do siebie telepiąc się w brudnym pociągu. Już ją widziałem: usta wąskie, lekko rozchylone, oczy przymknięte, niby się boi, nie chce. Co ludzie powiedzą? Ja do niej: Nikogo nie ma, jasna noc, wieś śpi. — Takaś sama, o takiej myślałem, taką cię zapamiętałem. — Ona jeszcze: Kiedy? My się w ogóle nie znamy. Przepraszam, pierwszy raz oboje i to w rowie.

Stacyjka śródleśna, cicha, wyzłocona popołudnio-

wym słońcem. Dalej wielki las, do niego przypięte łąki.

— O której przychodzi ostatni pociąg z Zielonej Góry? — spytałem znudzonego beczynnością kolejarza, wałęsającego się po zaśmieconym peronie.

— Dwudziesta trzecia szesnaście — rzucił jakby od niechcenia, ale i zmierzył mnie podejrzliwie.

Jeśli ta pokraka w wysmalcowanym mundurze kolejarskim domyśli się, po co przyjechałem? Taka dziewczyna, Mika, każdemu może wpaść w oko. Ty durniu! nie mogłeś wyczytać w rozkładzie jazdy? skarciłem sam siebie i na uboczu. Bo ona z takimi się nie kotłuje? Inna może by wytrzymała tyle lat bez chłopa, ale Mika?

Czekałem na ten dzień dwa i pół tysiąca rozwlekłych nocy. Inni zadowolali się ręką. Do późnej nocy łóżka szemrały miłośnicie. Moje milczało. Leżąc pod kocem na wznak widziałem Mikę: smukłą, pachnącą, w policzkach dwa dołki. Rozbierałem ją: piersi jeszcze dziewczęce, brzuch wciągnięty, spojenie gładkich ud spięte rzadką kępką, a pod nią to miejsce wymyślone. Przyłgnałem do niego, Mika jakby tylko czekała, kiedy poczuje lekkość i nic nie mówiąc będę tak tkwił, póki sama nie położy się na plecach. A ja wtedy chwycę jej piersi mocno, nogi rozrzuczę i już będzie moja. I rośło we mnie, i chciało być w niej. Żadnej dziewczyny jeszcze tak nie pragnąłem. Niekiedy, słysząc przyspieszony oddech Boksera, było mi jej bardzo żal. Wyszła za mąż za pokrakę, złodziejaszka, obiboka spod budki z piwem, bo ja co innego, mam fach, wszystko jak należy, wzrost troszkę...

Niewiele osób wytrysnęło z ostatniego pociągu. Kilku podpitych mężczyzn w roboczych drelach, inteligent z teczką i ona chyba. Ona! Mika. Poznałem po chodzie, chociaż była całkiem inna niż w opowieś-

ciach Boksera. Tylko jak taka w moich snach albo jeszcze piękniejsza: wysoka, w pasie jak trzcina, włosy rzucone na ramiona, płowa grzywka przysłaniała czoło i duże niebieskie oczy, pod pachą trzymała czarną torbę z najprawdziwszej skóry. Trzęsły mi się ręce. Bałem się, że stchórzę. Rozejrzałem się: robotnicy już zginęli w tunelu drzew. Szła szybko. Ja za nią, coraz szybciej, w ciemności biegłem. Przed lasem zrównaliśmy się, czułem prawdziwy zapach lekkich perfum.

— Z pra, z pracy?

— Tak — odparła zwalniając kroku.

Musisz być moja, zaraz — przysiągłem tylko sobie, bo i komu? Rozejrzałem się: dokoła tylko drzewa, las sosnowy, ani wysepki trawy, dopiero dalej łąka.

— Jak i ja. Mieszkam u ciotki w Łęgu. Codziennie pani tak?

— A pan? Pierwszy raz pana widzę. Od dawna pan dojeżdża?

Teraz — powiedziałem w myślach i spojrzałem za siebie. Droga była pusta. W atramentowym niebie nad lasem pływał jasny księżyc. Zapach perfum, bliskość Miki, prawie ocieranie się łokciami spowodowały, że zacząłem się pocić. Nie mogę tak nachalnie chwycić ją w pól, zadrzeć spódnice na biodra, tam i nazad, uciec. Jakby napomknąć, co odpowie? Będzie krzyczeć, wzywać pomocy? Do stacji blisko, kolejarz usłyszy, przybiegnie.

— Może papierosa?

— Chętnie. Carmeny?

Zaciągnęła się dymem, zakaszłała, nie umiała palić. Tak się nie trzyma papierosa.

— Dawno nie paliłam — powiedziała ciepłym głosem, a ja wiedziałem, że kłamie.

— Proszę, niech pani weźmie całą paczkę. Jeszcze mam, w domu.

Las się skończył. Przy szosie na łące drzemały przysadziste kupki otawy. Mika szła coraz wolniej, prawie spacerkiem, cały czas opowiadała o szpitalu. Nie słuchałem jej, myślałem o swoim postanowieniu. Przecież muszę! Ona nie jest dla Boksera. Czy siedem lat była mu wierna? Kto uwierzy? Więc może teraz? Dowie się ktoś? Znowu przypomniałem sobie twarz pokracznego kolejarza.

— W Łęgu nie znalazłeś żadnej pracy? — spytała zatrzymując się. — Do nowej welniarni potrzebują wielu mężczyzn. Może i ja kiedyś... Na pewno wybudują przychodnię. Wyjdę za mąż, przestanę codziennie jeździć do Zielonej Góry. Tak bym chciała... — nie dokończyła, wzięła mnie pod ramię.

Kuj żelazo, póki gorące — powiedziałem sam do siebie i w myślach.

Usiedliśmy na kopce. Ogarek papierosa parzył moje palce, powinienem go zdusić. Poczułem ciepło jej delikatnych palców na mojej dłoni. Spojrzałem na Mikę: zapatrzyła się w ciemność szosy. Nieruchoma. Nie zważała na spódnicę zsuwającą się z jej ud, na moją dłoń zaciśniętą na jej kolanie. Czekam, czując niepokój. Odejść? Teraz — usłyszałem swój głos. Nie było to już tylko tamto postanowienie, przeważała chęć. Z sekundy na sekundę rosła we mnie. I perfumy jakby parowały z flakonika, zachęcały mnie. Tak tylko może pachnieć kobieta.

— Ostrożnie — prosiła pomagając rozpiąć spódnicę. Leżąc na plecach zsunęła majteczki. — Uważaj, podrzesz pończochy. Ostatnia para — ostrzegła cicho.

Siano przestało pachnieć. Wyschnięte żdźbła łaskotały moje dłonie. Nie czułem chłodu, chociaż na łąkach osiadła mgła.

— Aleś szybki. — Tak jak poprzednio, leżąc na plecach podciągnęła majteczki, opuściła spódnicę na

uda, poprawiła poły płaszcza. — Niby z pracy, papierosem poczęstuje, grzeczny, a nie przepuści.

Tak szybko? Już? Dlaczego tak szybko? — byłem zły. Dwa i pół tysiąca nocy układałem szczegółowy plan, punkt po punkcie. Przyglądałem się jej, o niej tylko myślałem.

— Ubieraj się, bo jeszcze ktoś nadejdzie.

Nie podnosiłem się, leżałem na sianie czekając na coś, czego nie potrafiłem nawet nazwać. Tak szybko, tak szybko — powtarzałem w myślach.

— Przeziębisz się! — usłyszałem z szosy. Był to inny głos, szorstki, kpiący, suchy. — W przyszłym tygodniu mam ranną zmianę, ale za dwa tygodnie znowu popołudniówkę!

SEKWESTATOR

Każdego roku już na tydzień przed Bożym Narodzeniem jechaliśmy do dziadka Konstantego, tak było i teraz. Dziadek wiedział o naszej wizycie, zawsze wychodził na przystanek, czekał, kiedy ostatni autobus przyturla się z miasta, całował Miškę w dłoń, chociaż ona się broniła, nastawiała policzek, mnie tylko podawał swoją wielką rękę, potem brał Szczepana i unosił go wysoko, zadowolony z naszego przyjazdu mówił: — Moje dzieci, a to mój wnuczek. Nie głodniście? Już idziemy, już. Babka coś tam smaży.

Przyzwyczailiśmy się do dziadka, chociaż to żaden nasz dziadek, przypadkowy znajomy, jakich mamy wielu. Zaczęło się od choinki, którą koniecznie chciałem mieć w swoim nowym mieszkaniu na dziewiątym piętrze. Pojechałem do leśniczego, tłumaczyłem, prosiłem i kiedy choinka była prawie moja, do biura wszedł zziębnięty dziadek. Zza pazuchy wyjął butelkę wiśniówki, poprosił o kieliczki, poczęstował leśniczego i mnie, a kiedy się dowiedział, po co przyjechałem, nie pozwolił wyciąć drzewka, które by szybko zwiędło w suchym pokoju, na wigilię kazał przyjechać do siebie. Od tamtego dnia każdego roku jedziemy do dziadka, jakby to był tylko nasz dziadek.

— Teraz ludzie niczego nie potrafią. Na automaty się oglądają, sztuczne choinki ustawiają, perfumują się — zrzędził dziadek Konstanty, ale telewizor włączył. — Kolędy będą nadawali. Takie ich nadawanie... Dawniej kolędy się śpiewało, chodziło się z szopką. a o dwunastej na pasterkę.

— Co to jest pasterka? — zupełnie niewinnie spytał Szczepan kończąc jeść babcine rańuchy z marmoladą malinową. Ma pięć lat, a zjadł więcej ode mnie.

— O, widzisz, nawet tego nie wie. Wierszyków to cię nauczyli, ale o pasterce słowem nie wspomnieli. A na pasterce było można pośpiewać, czasem ktoś butelkę bimbru wyjął zza pazuchy, a jak było wesoło, ho-ho.

Czekaliśmy, kiedy dziadek Konstanty wstanie od stołu wigilijnego, powie, że dzisiejsze jedzenie było mdłe, chociaż babka od lat gotuje to samo, zapali świeczki na choince, zanuci kolędę i pójdzie do kuchni łupać cebulę. Już rano, a może jeszcze wczoraj? przygotował dużą główkę, teraz cebulę przekroi na pół, ze środka wydłubie dwanaście miseczek, ułoży je na parapecie, do każdej wsypie pół łyżeczki soli. Nie pozwoli nikomu tego ruszyć aż do jutrzejszego ranka, bo wróżba się nie uda.

— Zobaczymy, jaka będzie pogoda przez cały rok — powiedział dziadek biorąc Szczepana na rękę. — Każda łuska to jeden miesiąc.

Roześmiałem się, ale dziadek nie patrzył w moją stronę.

— Coś w tym jest. Sól z tej samej torebki, łuski z tej samej cebuli, a w niektórych będzie mokro, w innych sucho, suchuteńko.

— Dziadek wierzy w przepowiadanie pogody? — spytałem cicho.

— Ja? Sobie mam nie wierzyć? Można sprawdzić

inaczej. Jeśli Boże Narodzenie suche, to i taki będzie styczeń, na Szczepana deszcz, to luty mokry, i tak aż do Nowego Roku. — Dziadek przeszył mnie wzrokiem karcącym. — Każdy w coś wierzy. Ty... Trzeba wierzyć.

Babka pokiwała głową i uśmiechnęła się do Miśki, co miało oznaczać, że obie pójdą do kuchni zmywać naczynia, bo jutro zbyt wielkie święto, żeby grzać wodę. Na to dziadek Konstanty tylko czekał. Po każdej wigilii zapalał starą fajkę z wiśniowego korzenia, z kredensu wyjmował pachnącą wiśniami nalewkę, nie zapraszając mnie, napełniał dwa kieliszki, które babka zawsze ustawiała na tacy pośrodku wielkiego stołu.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. — zaczął zagadkowo, tajemniczo.

Lubiłem dziadkowe opowieści. Nigdy się nie powtarzał, chociaż na pewno zmyślał, układał je na poczekaniu. Im dłużej plótł, tym szerzej otwierałem usta i słuchałem nie dziadka Konstantego, lecz filozofa.

— Zaraz po wojnie zrobili mnie sołtysiem. W pi-sanym byłem mocny, mundur leśnika, przedwojenny, miałem, psa i flintę też. Teraz takich gajowych nie ma. Tom pasował na sołtysa. Kiedyś sołtys, ho-ho, nie to co dziś, król we wsi, pan. Na wartę naznaczał, szarwark ustalał, podwodę posyłał za księdzem po kołędzie. Wszystko za darmo, nikt mu grosza nie zapłacił. Ludzie jak ludzie, ociągali się z podatkami, ale w biedzie po ratunek biegli do sołtysa. A u mnie porządek, ołówki zastrugane, pieczątki, przyjmowałem w biurze, nie w kuchni jak nasz ksiądz, ani w sklepie.

Coś się dziadkowi pomyliło. Do najbliższego sklepu z pięć kilometrów. Ale patrzyłem na dziadka z podziwem, nie mogąc zrozumieć, gdzie rozumu nabierał.

— Przed Godnimi Świętami kto wykarmił kabana, to go zabijał. Baby wyrabiały kaszanki, kielbasy, a ile

himbru się wtedy pędziło. Z co drugiego komina sączył się kosmyk dymu. Podniosłeś głowę wysoko i wiedziałeś u kogo było świniobicie, kto już piecze na święta, kto się jeszcze ociaga. No i zdarzyło się, że przed samą wigilią przyjechał sekwestrator.

Sekwestrator? kto to jest? Dziadek widząc moją pytającą twarz powiedział:

— Po waszemu komornik. — Pyknął z fajki i ciągnął dalej: — Na ludzi padł błąd strach. Sekwestrator nad nikim się nie litował, brał wszystko, plombował piwnice, spichlerze, spiżarnie. Ludzie najbardziej bali się, żeby nie wszedł do spiżarni, bo tam mięso ze świniobicia, placki, nagotowane aż do Nowego Roku. Baby zastawiały drzwi spiżarni stołami, co niektóre na drzwiach wieszały prześcieradła, a sekwestrator nie taki głupi, po zapachu trafiał. Kiedy już zaplombował kilka spiżarni domowych, magazynków, piwnic, przyszła kolej na mnie. — Dziadek uderzył się w piersi. — Nie pytasz, dlaczego on chodził po wsi? To dobrze, sam ci opowiem. Było tak jak tego roku: wieś nie wykonała planu sprzedaży kartofli, każdy myślał, że się jakoś uda. Na wiosnę mogły podrożyć. Ale sekwestrator srogi, niczym nie można go przekupić, ani kielbasą, ani plackami, ani workiem żyta. Taki służbista, że w szkołach go pokazywać, to niedzisiejszy człowiek. Po wsi płacz hula, baby przestały wypiekać placki świąteczne, bo i po co? jeśli i tak sekwestrator drzwi zaplombuje. Rozumiesz?

Przytaknałem.

— I wtenczas babka przybiegła po mnie do lasu. Sekwestrator we wsi, powiada przerażona. Musisz co zrobić, bo do wigilii nie doczekamy, tyś sołtys, ciebie ludzie wybrali. Sekwestrator, myślę sobie, takiego nie przekupisz byle czym. Ale od czego głowa sołtysa! Przychodzę do niego, dzień dobry, mówię kim jestem

i że chciałbym popatrzeć, mogę pomóc, bo psy z całej wsi dobrze mnie znają, żaden nie zaszczeka. Sekwestrator długo myślał, myślał, ale się zgodził, nawet pozwolił swoją teczkę nosić, a w tej teczce były plomby. Jakby je zgubić? Nie, oskarży mnie o sabotaż, na gorsze jeszcze wyjdzie. Trzeba coś innego wymyśleć.

— Skąd dziadek wiedział, że w teczce są plomby, a nie...? — spytałem, a dziadek tylko mrugnął do mnie i pokazał na butelkę już do połowy opróżnioną.

— Koło obiadu pytam go, czy nie jest głodny. A owszem, coś bym przegryzł, ale u was nie ma gospody, a w prywatnym mieszkaniu nikt mnie nie poczęstuje. Mój dom nie jest prywatny, lecz służbowy, każdy leśnik dostaje mieszkanie służbowe, ja tak do niego. No i poszliśmy do mojego biura, na obiad. Żona wiedziała, co i jak podać na stół. Szkoda było kiełbasy ze świniobicia, do tego piątek, post, ale raz kiedyś Pan Bóg wybaczy, nie dla siebie grzeszę, lecz w obronie wigilii. Na talerz nałożyłem mu klusek z makiem, potem była kapusta z grzybami z naszego lasu, same prawdziwki, aż szkoda takiemu dawać, do popicia barszczyk. Apetyt miał niemały, jadł przymykając oczy, bo grzyby jeszcze nie były miękkie, skończył kapustę, przepiliśmy bimbrem, a tu już babka stoi z patelnią: rybka smażona. Nastarczyć nie było można, tak mu smakowało, bo to domowe, najlepsze; ale we wsi ucichło. Kilka razy wychodziłem na drogę, tu i ówdzie już zapalano świeczki na choinkach, psy całkiem umikły, krowy przestały ryczeć. No to się udało, mówię sam do siebie.

Nie czekając na dziadka wylałem ostatnie krople wiśniówki do kieliszków, a on tylko wyciągnął rękę i ciągnął dalej:

— Kiedy już się dobrze ściemniło, w granacie nieba pływała Gwiazda Północna, na stole zostały same puste półmiski, on powiada, że idzie kończyć plombowanie. O ty! zasyczałem ze złości. Nie pozwolę. I właśnie wtenczas babka przyniosła z piwnicy nalewkę wiśniową. Taką samą. Ile wypiliśmy? Tego do dziś nie mogę ustalić. Na pewno dużo, bo do nowego owocobrania nie tknąłem nawet kropli. Najgorsze przyszło rano: sekwestator obudził się w Boże Narodzenie.

— Całą noc piliście?

— Służbowo — odrzekł dziadek Konstanty łykając ostatnie krople nalewki. — Babka była zła, tak zła jak zła może być kobieta. (Dobrze wiem, jak zła jest kobieta, od czterdziestu lat jestem żonaty.) Wtedy po raz pierwszy i ostatni babka nie siedziała przy stole wigilijnym. Gdy się zreflektowała, został tylko listek opłatka, wszystko inne zjedliśmy. Bimber, com go miał dla lepszych gości, wypity, nalewki zabrakło, choinka nie ubrana, na pasterce nie byłem, a w głowie tak mi szumiało, jakby wiatr hulał po lesie łamiąc drzewa.

— Wszystko służbowo — powiedziałem przerywając dziadkowi. — To można wytłumaczyć.

— Ale nie ma niczego złego, co by na dobre nie wyszło. Sekwestator został w mojej rodzinie. W Boże Narodzenie, kiedy już troszkę doszedł do siebie, oświadczył się o rękę mojej najstarszej córki. Nigdy nie chcieliśmy mieć sekwestatora w rodzinie, no, co ja mogę? W tym domu niewiele mam do gadania, w lesie owszem. Gdyby człowiek wiedział... — Dziadek zwiesił głowę, spoważniał, chwilę milczał. — Poczekaś do Nowego Roku, zobaczysz go, bo na wigilię od tamtego roku on nigdy nie przyjeżdża, wstyd mu przed wsią.

W biurze rozległ się cichy dzwonek telefonu. Dziadek podniósł się z krzesła i powiedział:

— To on. Przez telefon składa życzenia świąteczne.

1980

POWRÓT

Wróciłem. I to wbrew sobie. Zawsze stąd uciekałem do większych i zupełnie nieznanymi miast, raz nawet do Zielonej Góry, gdzie prawdziwy teatr dramatyczny i kino szerokoekranowe „Wenus”, i winnice skarłale, i lotnisko wyczynowe, zawsze żegnałem wielką, okopconą i cuchnącą stację, rozłupującą Chłopi-most na dwie nierówne części — Zabuże i Stary Targ. Po latach dobrowolnej włóczęgi znowu stoję przed wzgardzanym gmaszyskiem, zastanawiam się, i nie wiem, naprawdę po raz pierwszy w życiu nie wiem, dokąd iść. Wcale nie musiałem wysiadać z pociągu akurat tu, przecież mogłem kupić bilet do Nowej Soli, do Krosna albo do Świebodzina, albo jeszcze dalej, na przykład do Kobylej Góry, gdzie ani ja nikogo nie znam, ani nikt mnie. Wszędzie zaczynałbym jako stażysta, na którego ze wzgardą będą patrzeć przemądrzali szefowie, absolwenci wieczorowych liceów i gloryfikowani bohaterowie miasteczkowych cudów. Wszędzie błagałbym o legowisko, choćby na wyziębionym, wilgotnym poddaszu, później o pokój sublokatorski, odkupowałbym za psie pieniądze wygnieciony do sprężyn tapczan i telewizor prawie nieużyteczny, i szafę trzydrzwiową, stół koślawy, krzesło albo fotel, może

i dywan. Wbrew sobie wyciągnąłem na ślepo los aplikanta, chociaż dwa razy już zaczynałem i dwa razy miałem dość, zawracałem przynajmniej z połowy drogi, i też dwa razy obiecywałem, nie sobie, lecz tak w ogóle, że to już na pewno koniec mojej ciut za długiej aplikantury, bom nie debiutant zupełny. Czy ten raz na pewno będzie ostatni? Jeszcze nie wiem.

Nie cofaj się, idź prosto przed siebie, nie oglądaj się, mów wszystkim: dzień dobry. Poszukaj kołyski, w której już myślałeś o ucieczce, gdy inni spieszenie wracali z dalekich podróży. Tu twoje gniazdo, cokolwiek rozbebeszone, poszarzałe, ale wróciłeś po to, by je naprawić i już nigdy nie porzucać — przemawiał do mnie nie aplikant, lecz zgarbiony mędrzec prowincjonalny. Poczułem się jak bocian, nie syn marnotrawny, ale właśnie jak żabojad na wiosennej, jeszcze podmokłej, lecz już pachnącej kaczeńcami łące. Wbrew sobie przyfrunąłem do gniazda, z którego kilkanaście lat temu ruszyłem w obcy, wielki i całkiem nieznany świat. A w tym świecie lepszym, bo o takim tylko śniłem, stanąłem na ochotnika przed ciasno obleganą drabiną awansu, która musiała mieć spróchniałe pierwsze szczeble, gdyż dwa razy wspinałem się po niej i dwa razy spadałem na ziemię, zawsze cicho i z podbitym okiem.

Czy sny się kiedykolwiek sprawdzają? Dopiero teraz wiem, że nie. A lata mojego fruwania czym były? Snem? Tak, długoletnim snem w bardzo niewygodnym łóżku, które porzuciłem, nie wiedząc, czy nowe legowisko będzie akuratne dla mnie.

Zupełnie zapomniałem swoją gminę, dawno w niej nie byłem, ostatni raz chyba na pogrzebie matki, nie! jeszcze kiedyś po odpis metryki urodzenia. Wcześniej ułożyłem list prośbny do naczelnika, błagałem go, aby przysłał mi dokument, bo zmieniam stan cywilny;

tę prośbę błagalną mogłem nazwać krótko: żenię się, ale chciałem inaczej, wielkomiejsko, urzędowo i według zasłyszanej nomenklatury. Tydzień upalny, miesiąc deszczowy czekałem, wyglądałem listonosza, dwa razy dziennie biegałem na pocztę; naczelnik odpisu nie przysłał, nawet nie odpowiedział, dlaczego mnie, obywatela kształconego w uniwersytecie, bo i ten szczegół podałem, lekceważy. Zły na cały świat wsiadłem do pociągu osobowo-towarowego, po trzech godzinach trzęsionki z głową wysoko zadartą znalazłem się w tym samym miejscu co teraz, chyba też wtedy była miedziana jesień, bo drzewa chętnie gubiły zrumienione liście, a piętnaście minut później, ciesząc się, czytałem na głos odpis metryki oklejony paskiem znaczków skarbowych i poświadczony zamaszystym, nieczytelnym podpisem obok wielkiej pieczęci koloru czerwonego. Dobrze tamto zapamiętałem, aż za dobrze, bo od tamtego dnia zacząłem coraz częściej spadać na ziemię i na oślep szukać swojego miejsca. Teraz nie o żaden odpis chodzi ani o inny dokument, bez którego człowiek nawet z dyplomem magistra rusycystyki we własnym kraju niewiele znaczy. Legowisko mi potrzebne, taka ciupinka z okienkiem na stację, na bzy dziko rosnące przed wzgardzonym gmaszyskiem, abym mógł patrzeć i naprawiać swoje pomyłki, na ulice kiszkowate, jak wąski był mój dotychczasowy świat, choć wielki i modnie odziany. Abym przez wziernik publiczny mógł dostrzegać własne grzeszki i zmyłki, bez których człowiek nie robi żadnego kroku, ale też chciałbym się wznieść wysoko, nad głowy tutejszych dyrektorów, prezesów, magazynierów, kierowników i wszelkiego dostojęstwa. O, wtedy byłbym bardzo uradowany, może nawet szczęśliwy, a już na pewno zadowolony z tego powrotu wbrew sobie. A gdybym bez okularów przydymionych, które także sobie spra-

wiełem w wielkim świecie, potrafił rozpoznać swoich wrogów i umiał ich nazwać po imieniu, stanął oko w oko, szczęście moje byłoby bez granic.

Stałem pośród gminnego rejwachu i zastanawiałem się, czy szczęśliwi byli: Dostojewski, Kierkegaard, Tolstoj, którzy umierali tragicznie? Nie lękali się nikogo, bo szydzili z intryg, wrogów, kłamstwa, nie obawiali się ani wielkich, ani małych, ale dopiero w godzinie nagłej śmierci zaczynali się bać. Umierali nieszczęśliwi, w samotności.

Ja...? Mam zaledwie trzydzieści dwa lata. Jaki jestem? Nie wiem.

Na wprost stacyjnego, ponurego gmaszyska, między tunelami wąziutkich drożynek oplatających pagórkowaty skwer, stało samotne drzewo — lipa miododajna — jak przekupka szerokie w biodrach. Na nim zawsze przybijano ogłoszenia drobne i poważne. Lubiełem czytać tę gminną jednodniówkę, taki kurier lokalny, za który nic się wówczas nie płaciło, a który zawierał najświeższe i najprawdziwsze, jeżeli cokolwiek oznacza prawdę, wiadomości. Wiedziałem wtedy, gdzie i kiedy straż ogniowa urządza zabawę taneczną z bufetem obficie zaopatrzonym, kto już umarł, z kim „Zieloni” grają w piłkę nożną, ile kosztuje najlepsze radio marki Pionier. Tak, wtedy samotne drzewo nie było li tylko lipą miododajną, lecz i najprawdziwszą gazetą codzienną. Może dlatego na skwerze przed stacją, wybiegając na długiej przerwie ze szkoły, paliliśmy sporty lub skręty liściane. Najweselej tam było i najwięcej opróżnionych w pośpiechu butelek walało się pod szczerbatymi, oblaźłymi z farby poniemieckiej ławkami. Potem obok, w starej remizie, założono punkt skupu opakowań szklanych, szybko przemieniony, w ciągu jednej nocy, w punkt skupu surowców wtórnych, więc zbieraliśmy te niczyje i w pośpiechu

porzucone butelki, w których jeszcze się kąpały ogłupiałe muchy, i z wypiekami na policzkach, jak złodziejaskowie cmentarnych marmurów, pędziliśmy do punktu skupu. Wtedy nikt z nas nie odróżniał dobra od zła.

Obejrzałem się: ani jednej butelki, tylko papierzyska, ogryzki, połamane i zmiętoszone krzaki róż przekwitniętych. A ławki po dawnemu oblaźłe z farby. Coś się zmieniło, niewiele, jednak coś.

— Z „Zastalem” nie da rady, ale z „Pogonią” musi.

— Z „Pogonią”? To już prędzej wkropi „Dozametowi”.

— Zobaczym... Założym się o pół basa?

Też się zakładałem, nie o pół litra, lecz o paczkę sportów, i też przegrywałem. Zawsze ktoś musi przegrać, żeby ktoś inny wygrał. Wtedy trzeba było sprzedać aż sześć butelek, żeby w terminie honorowym oddać dług. Nigdy nie miałem szczęścia, nigdy niczego nie wygrałem, niczego nie znalazłem. Taki byłem do dziś, no, może do wczoraj, bo przecież trzeci raz zaczynam aplikanturę, a, jak powiadają w wielkich miastach, do trzech razy sztuka. Kiedy byłem pewien zwycięstwa „Zielonych”, właśnie wtedy przegrywali oni i ja. Później, w szóstej czy siódmej klasie, zmagając się, zakładałem się tylko z młodszymi od siebie, ale i oni wygrywali. Więc na złość całej szkole przestałem przyjmować jakiekolwiek zakłady i w niedzielę już nie pędziłem na boisko za torami w nowszej części gminy. Dopiero gdy w powszechnym czynie społecznym — za dwa miliony złotych — wybudowano nad brzegiem Obry prawdziwy stadion otoczony drutem kolczastym, podobno wtedy największy w województwie, po raz drugi zostałem kibicem piłkarskim, lecz znowu nie na długo. W naszej gminie była tylko jedna Szko-

ła Podstawowa nr 51 i wieczorowa Zasadnicza Szkoła Zawodowa przy Fabryce Garnków Aluminiowych, a jakurat wtedy pragnąłem zostać kimś bardzo ważnym, mamie powiedziałem, że księdzem proboszczem albo biskupem kobylogórskim. Bardzo podobało mi się zalegalizowane nicnierobienie, paradowanie w sutannie, spowiadanie grzeszniczek z mojej klasy i wyciąganie tacy po pieniądze. Już bym i może przywdział krepowy kostiumik kleryka, gdyby właśnie wówczas proboszcz katecheta nie rznął mnie trzcinką, którą musam przyniosłem, bo zamiast zeszytu, na religię przytargałem książkę z rozebranymi do połowy panienkami. Też miałem być weterynarzem, ale przestraszyłem się krowy, którą wziąłem za byka rozjuszzonego; zimą wybierałem inne zawody: nauczyciela gimnastyki, malarza, urzędnika, kolarza... Zdarzało się, że rano marzyłem o mundurze oficerskim, wieczorem zaś o poplamionym krwią kitlu chirurga. Każdego dnia miałem inne marzenia, lecz nie były to te, które zaprowadziły mnie do wielkiego miasta, chociaż z wielkich miast, i to wokół stacji, poznałem Zieloną Górę. Cała siódma klasa zamierzała rozciągnąć skrzydła i opuścić na zawsze naszą gminę; ktoś już szył uniform górnika, ktoś sutannę, dziewczęta przymierzały czepki pielęgniarek, tylko ja ciągle pozostawałem w wytartym garniturku uczniowskim. W końcu, za poradą pani od matematyki, samodzielnie napisałem podanie do Państwowego Liceum Ogólnokształcącego w Zielonej Górze, dokąd pociągiem najbliższej, lecz nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Obrażony na wszystkich, najbardziej na listonoszkę Łońkę, zdałem egzamin wstępny do klasy ósmej Liceum Prywatnego w Chojkowie, a po czterech latach palenia papierosów w internackiej kotłowni, szczypania dziewcząt z młodszych klas, pisania listów zaczynających się od słów: „Kochana mamo, dziś do-

stałem dwóję z...”, wbrew polonistce, dyrektorowi, mamie i na złość sobie zapisałem się na uniwersytet w bardzo wielkim mieście Poznaniu. Wtedy królowała taka moda i każdy chciał studiować; najwięcej maturzystów wybierało się na medycynę i wychowanie fizyczne. Z mojej klasy maturalnej nikt nie został magistrem czy doktorem, jedynie ja jestem uczony i obyty w wielkim świecie, choć od samego początku wrogim dla mnie. Dziś prawie wszyscy moi rówieśnicy doczekali się tęgich żon, pyzatyh dzieci, willi z płaskimi dachami i samochodów o obcojęzycznych nazwach. Ja zaś w walizce mam dyplom uniwersytecki i angaż na kierownika oddziału zamiejscowego redakcji tygodnika „Ziemia Nasza”, a w gołwie wiele wspaniałych pomysłów, którymi mógłbym obdzielić całą gminę. Oni są radnymi, członkami egzekutywy czy prezydentów, działaczami zupełnie społecznymi, kościelnymi, strażakami, ja — reporterem, autorem sześciu książeczek dla dzieci, z których już tylko dwie leżą na okurzonych półkach księgarń, bo teraz takie czasy dla literatury.

Gdzieś obok stacji Staśko wystawił fabryczkę papieru toaletowego najwyższej jakości, Halszka Korsakówna — warsztat gorseciarski, Zbycho Wielki Łeb — zakład wulkanizacyjny, a zezowaty Bynio, który edukację obowiązkową skończył w klasie trzeciej szkoły wieczorowej — gabinet odnowy fizykoterapeutycznej i balneologicznej dla smukłych pań. Najbardziej zapuszczony, od małego bezzębny i zasmarkany Wańka, najpierw był pomocnikiem listonoszki, później agentem ubezpieczeniowym, a kiedy „Zieloni” w szyku zwartym weszli do ligi wojewódzkiej, Wańkę posadzono w klimatyzowanym gabinecie wiceprezesa do spraw ideologicznych Spółdzielni Inwalidów Ociemniałych „Jasność Wieczysta”.

Gdybym poszedł prosto na Zabuże do Wańki, czy pomoże? Może lepiej do Halszki, w szóstej klasie tylko ja się w niej podkochiwałem. A jakby do Bynia...? Hm, do kogo by tu...? Tak stojąc przed miododajnym drzewem zastanawiałem się, gdzie szukać wsparcia, to znaczy pokoiku czy łóżka na kilka pierwszych nocy. Nie, powiedziałem do siebie i w myślach, zawsze byłem samodzielny, nawet jako mąż Katarzyny, wiecznej turystki. Idę do hotelu gminnego. Chyba jeszcze nie zdążyli zamienić go na przedszkole dla dzieci autochtonów czy pionierów? Ostatnio w małych miastach więcej przedszkoli niż hoteli.

Jeszcze na ulicy wyjąłem z portfela dowód osobisty, wszedłem do zupełnie ciemnego holu, powiedziałem cicho „dzień dobry” i że ja w sprawie noclegu.

— Tutejszy, tutejszy — mamrotała recepcjonistka, przewracając pożółkłe od środka kartki w moim dowodzie pełnym stempelków. — I szuka miejsca? — powiedziała jakby tylko do siebie. Mogła mieć nie więcej niż czterdzieści lat. Patrzyłem to na prawie nieczytelny cennik, to na plik kluczy, z których jeden będzie mój, i udawałem, że jej nie znam. Głowy bym nie dał, ale to chyba Kazia. Jeśli Kazia, powinna pamiętać, kto się w niej podkochiwał. W szóstej klasie wspólnie z Wańką z lekcji wychowania obywatelskiego wynieśliśmy ją prosto do izby porodowej, a w siódmej, gdy urodziła drugiego znajducha, jako gospodarz klasy zaproponowałem, abyśmy pojechali zbierać ziemniaki, i za uciulane pieniądze sprawili Kazi wózek dla dzieci. Spytać, czy to na pewno ona? — Wolnych miejsc aktualnie nie mamy.

— Proszę pani, ja tylko na jedną noc — błagałem gotów niczego jej nie przypominać. — Jestem...

— Nie mamy.

— A gdzie można przenocować? — spytałem na

wszelki wypadek, mając nadzieję, że Kazia zlituje się nade mną.

— Nie wiem — odrzekła nieprzyjaźnie.

— Może jednak...

— Co?

— Może jednak...

— Nie mamy.

— Niech się piękna pani zlituje nade mną — łkałam jak sierota.

— Trzy razy nie lubię powtarzać. Wynocha!

Tak, to na pewno była Kazia. Ledwie zrobiłem pierwszy odważny krok, a już niepowodzenie wokół mnie. Źle zacząłem, tłumaczyłem sobie, przecież powinienem powiedzieć, że ją jeszcze pamiętam, że wózek dla znajduchów sam wybrałem. Zamierzałem wrócić do hotelu i przypomnieć się, ponownie błagać o litość, prosić na kolanach o łóżko choćby w zbiorowej sypialni, ale właśnie wtedy spotkał mnie Wańka.

— Czy my się przypadkiem nie znamy? — spytał poprawiając szeroki i już niemodny krawat w wielkie grochy koloru krwistego. — Tak jakbym obywatela gdzieś widział. Hm, w telewizji? Nie, nie! Może na naradzie w związku?... Też nie. Nie grałeś, koleś, na lewym skrzydle w „Pogoni” Świebodzin?

Wzruszyłem ramionami, bo co on sobie myśli, nie poznaje mnie?

— Ale ja pana skądś znam.

Dłużej nie mogłem milczeć.

— Wańka! jak mamę szczerze kocham.

— Przepraszam, Jan Bogutowicz, pierwszy wiceprezes Spółdzielni Inwalidów Ociemniałych „Jasność Wieczysta” — skłonił się nisko i wyciągnął do mnie łopianowatą dłoń. — A pan? Z kim mam przyjemność.

— Nie udawaj, stary byku! Wańka...! Nie poznajesz mnie! Naprawdę?!

— No, jakby... E... — Wbił we mnie oczy, ale chyba nie poznawał.

— A kto przytachał do kościoła plecak pełen granatów i karabin maszynowy? Kto...? — zaciąłem się jak prototyp automatu biletowego na stacji, już nie pamiętałem najważniejszych swoich grzechów szkolnych. — Kto Gnidzie ukradł rower spod kościoła?

— Bonawentura! Tyś to?!

Nareszcie jakaś przyjazna dusza. Nie zginę, Wańka nie pozwoli.

— No to, stary, walimy do mnie — rzekł, zawałdiacko klepiąc mnie po ramieniu. — Sekundę, zadzwonię do spółdzielni, że dziś już nie wrócę. Niech sami podpisują kwity. Wiesz, co im nagadam? Że mam obchód z jednym ważnym redaktorem. Jeszcześ za redaktora? — Kiwnąłem głową, lecz on tego nie dostrzegł, zginął za drzwiami hotelu. Po dziesięciu, może po piętnastu minutach wrócił z recepcji, trochę zadowolony, uśmiechnięty, i rzekł: — Kazia na dyżurze. Jakbyś... kiedyś... miał męskie zapotrzebowanie, ona nadal nieźle służy. Chociaż Marucha dużo lepsza.

Zrobiłem sztucznie zdziwioną minę, jakbym zupełnie niczego nie rozumiał. Wańka to zauważył, mrugnął do mnie i pośpieszył z natychmiastowym wyjaśnieniem:

— Nic się nie zmieniłeś. Dalejś dziewiczek? Zapomniałem, miałeś być księdzem — machnął ręką, ale po chwili ciągnął dalej: — Co, nie pamiętasz Kazi Isetuissetam? Pierwsza dziwka... to znaczy już tu urodzona. Jam pierwszy tutejszy wiceprezes, tyś pierwszy magister i redaktor, a ona... — urwał, lecz zaraz dodał: — Tak, stary, rośnie i awansuje nowe pokolenie.

Jeszcze rok-dwa i naczelnik będzie z roczników powojennych.

Nie ze wszystkim się zgadzam; Wańka awansował, Kazia grała pierwsze skrzypce w swoim zawodzie, cóż ja? Może się mylę? Coś widziałem w tym wielkim świecie, czegoś doświadczyłem na własnej skórze, tylko czy akurat do tego potrzebny jest aż dyplom magisterski?

Volkswagenem 1300 koloru yellow bahama w najwyższej pięć minut byliśmy na Zabuzu, przed kanciastą, oklejoną lusterkami, porcelitem, zielonymi szybkami willą Wańki. Tego miejsca w ogóle nie zapamiętałem, jakbym tu nigdy nie był, a przecież musiałem być, wszak kiedyś cała gmina, z gruzowiskami, wypaloną remizą, piwnicami przysypanymi, składowiskami bomb, karabinów należała do nas. W pierwszej chwili sądziłem, że to dalekie przedmieście, ale czułem woń ponurego gmaszyska stacji, słyszałem świst parowozów, najprawdziwsze przekleństwa kolejarzy, więc Wańka nie mógł mieszkać ani za daleko, ani na przedmieściu Chłopimostu. Gdyby go spytać? E, jeszcze powie, że się wygłupiam, udaję światowca, bo nie poznaję tego, czego zapomnieć nigdy nie wolno. Obraz miejsca urodzenia powinien zawsze tkwić przed naszymi oczami. Kto gubi ten obraz, nie jest wart nawet wzgardy.

— Jak ci się widzi? — spytał Wańka, pokazując domy z płaskimi dachami, podobne do siebie jak miedziane liście na lipie miododajnej przed stacją. — Prywatne tam — wskazał ręką na karlejący park — tu kolonia spółdzielczo-służbowa. Moja willa też nie jest moja. Dostałem ją z klubu, jakem odchodził do rezerwy. A co, nie należała się mi? Kto zaprowadził „Zielonych” do ligi wojewódzkiej?

— Volkswagena także?

— Dali mi talon na fiacika, alem go sprzedał.

— A volkswagen pożyczony? — nie ustępowałem.

— Coś ty! Kupiłem od Zbycha.

Zbycha mniej, ale jego łysiejącą siostrę dobrze zapamiętałem. Została zakonnicą.

— Pamiętasz go? Teraz ma koncesjonowany zakład wulkanizacyjny. Chwilowo nieczynny z powodu wyjazdu właściciela na dobrowolne roboty do Bundesrepublik.

Ho, ho! toś ty, Wańka, poliglota — oceniłem przyjaciela w myślach. Zamierzałem spytać go, dlaczego nie towarzyszy Zbychowi, już otwierałem usta, gdy Wańka rzekł niby sam do siebie:

— Głupi człek. Oj, głupi. Stary i taki jeszcze głupi.

— Kto? Zbycho Wielki Łeb?

— Ja! Miałem propozycję z „Pogoni” Szczecin. Wiesz, że grałbym już we Francji albo w... — zastanawiał się przez moment — albo w Ameryce Południowej, gdzieś w Kamerunie czy w Laosie. Przez babę zgupiałem. Języka nie znasz, jeszcze ci świnię podłożą — tak moja stara bajtlowała. A forsa, to co? Gorszym od Zbycha? Nie poradzę sobie?

Wańkowa w rozchełstany na piersiach szlafroku powitała mnie zupełnie przypadkowym przekleństwem. Była zła jak diabeł tasmański. Już w sieni powiedziała, nie do mnie, lecz do Wańki, że ma dość przymusowej katorgi w mieście niepowiatowej. W Zielonej Górze byłoby na pewno inaczej. Tu co? Od rana nie wychodzi z pokoju, telefonuje do gazowni, mówi, czyją jest żoną, a oni jeszcze butli z propan-butanem nie przywieźli.

— Trudności obiektywne — bąknąłem i zaraz zacząłem tego żałować.

— Co, gazu nie ma?! Powiedziałaś, że mąż jest

pierwszym wiceprezesem? Radnym? W egzekutywie? Kopał w „Zielonych”?

Wańkowa stała oparta o futrynę i kiwała na rudo ufarbowaną czupryną, nie zważając na coraz szerzej rozdziawiający się szlafrok.

— Jaki numer do naczelnika? Już ja...

Obiad wystawny zaczęliśmy od butelki żytniej eksportowej. Mogłem, bo naprawdę mogłem wybrać napoleona albo brandy gruziński z trzema czy pięcioma gwiazdkami. Nie wiem, dlaczego szepnąłem, i to zupełnie niezrozumiale, że wolę żytnią. Z alkoholi darmowych najczęściej piłem piwo niepasteryzowane lub jabole cuchnące siarkowodorem. Wańka nie sprzeciwiał się mnie, kryształowe kieliszki napełnił aż po brzegi, powiedział: „— No to siup w ten głupi dziób”, wypił, co i ja za jego przykładem natychmiast zrobiłem. Dwie szklanki, bo te kieliszki wyglądały jak szklanki, wypiliśmy za niespodziewane spotkanie po latach, później już tylko po połówce za pokój w Hondurasie, przyjaźń polsko-perską, granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej. Gdy powiedział, że powinniśmy wzniesć szklanice za długotrwałe szczęście rodzinne, prawica mi zadrżała, zeszywniała, opadła na stół. Od z górą sześciu lat dobrze wiem, mam na to dowody fotograficzne i pisemne, że bezgraniczne przywiązanie do kogoś może być kłopotliwym nieszczęściem.

— Nie mogę — cicho rzekłem. — Właśnie wczoraj rozwiódłem się.

— Co? Tyś też się rozwiódł?! Tyś?... — Matka! — wrzasnął Wańka, aż w ogrodzie wypierzone kokoszki zaczęły gdakać. — Bonawentura też się rozwiódł!... Daj pyska, szczęśliwcu... Już ja cię wyswatam, oj! wyswatam — zapewnił i, nie czekając na mnie, wygulgał pełną szklanice żytniówki. Zakąsiwszy szynką z puszki, powiedział: — Mam ci dziewczuchę, hm, cymes, bomba

neutronowa, ale byle komu nie oddam. Jedynie przyjacielowi!... Matka! kiedy nasza Susan wraca?

Akurat tego mi dziś potrzeba. Żeniaczki w dzień po rozwodzie. Zwariował? Ledwie uwolniłem się od jednej turystki, już mam się wiązać z następną? A kogo on mi narai? Może Kazię, może Maruchę? Zaraz, zaraz, powiedział: Susan. Susan, to kto? Nie pamiętam, żeby z nami do szkoły chodziła jakaś Susan.

Ale czy podobnie nie ożeniłem się z Katarzyną? Zięciu — mówił przyszły teść — Kasia inteligentna, zgrabna jak jej matka, gosposia pierwsza klasa. Ożeniłem się, aby prac jej majtki, gotować kluski, bo tylko tyle umiałem. Ona wiecznie była zmęczona turystyką krajową i zagraniczną. Pracuj w spokoju, twoja Kasia coś ci przywiezie. Przywiozła, nie mnie, lecz sobie. I mówiła: — Posprzątaj, bo zaraz przyjdą goście. Ugotuj coś. Taka jestem zmęczona. Czy wychodziłam za mąż jedynie po to, żeby prac twoje brudy? Nie prała, nawet nie umiała włączyć pralki automatycznej, którą kupiłem jej na dziewiętnaste urodziny. Pralka? — śmiała się. — Pierścioneł, kolia, futro. Gdybyś mnie naprawdę kochał, nająłbyś służącą. Tak się z nią męczyłem aż do wczoraj. Uwolniony wsiałem do pociągu, zamierzałem po raz trzeci zaczynać. Już w pojedynkę.

— Moja stara ma młodszą siostrę — niby konspiracyjnie szeptał Wańka i rękę wepchnął pod stół, skąd wyciągnął pudełko ze zdjęciami. — Strona moralna bez zastrzeżeń, zachowanie nie budzi większych obaw, w przeszłości nigdy nie była karana, wzrost sto pięćdziesiąt dziewięć, waga sześćdziesiąt dwa, obwód w białści dziewięćdziesiąt trzy... Matka! ile Susan ma w pasie? Grubsza od ciebie?

Z fotografii retuszowanej w firmie „Foto-Feliks-Express” patrzyła na mnie dziewczoja lekko zezowata,

co dodawało jej uroku Giocondy, z rozlaną brodawką na czubku dziecięcego nosa (mogła to też być skaza fotograficzna), o włosach tycjanowskich.

— Nie przejmuj się, stary, zeza wyleczę na swój koszt... Wiesz, Susan raz się już porządnie sparzyła... no, miała dość nadzianego fagasa, ale był żonaty i dzieciaty poczwórnienie... Matka! o której nasza Susan wraca?... Robi u Staśka, pamiętasz go? za sekretarkę osobistą i przyboczną. Miała propozycję do naczelnika, alem zaprotestowałam, chociaż nieźle chciał płacić. Fajna dziewczyna. Gdybym nie był żonaty z tą... — wskazałam ręką za rozdziawione drzwi, za którymi krzątała się choleryczna Wańkowa — nawet bym się nie ociągał. To jak?... Tej — klepnął mnie w kolano — Bonawentura masz w dowodzie, a tak normalnie, po ludzku?

W podstawówce koledzy wołali na mnie: Turek, w liceum — Veni-Vidi-Vici, bo byłem w klasie łacińskiej, na uniwersytecie — różnie (Kmiotek, Blacha, Pierdoła, Kutasek, Cymbergaj), w pierwszej redakcji podpisywałem swoje notki — Bona, w drugiej, czyli w „Ziemi Naszej” — Ra. Żona wymyśliła — Wen, lecz szybko się to jej znudziło i wymieniła mnie na Roberta, o pięć lat starszego ode mnie aktora w teatrze dramatycznym. Co odpowiedzieć Wańce? Może powtórzyć pół kalendarza imion i przezwisk? Jest w czym wybierać. Niech wybiera i decyduje, skoro zamieszka zostać ojcem chrzestnym.

— Dla mnie będziesz: Benek. Zgoda? Wypijmy brudzia.

W ten zupełnie przypadkowy sposób po raz drugi zostałem ochrzczony i to nie wodą święconą, ale żytniówką eksportową, mając za ojca chrzestnego brata-łate, kandydata na szwagra. Nawet spodobało mi się moje nowe imię: Benek. Po raz pierwszy spytałem, nie Wańkę, lecz siebie, dlaczego moja matka, która

przecież ukończyła szkołę powszechną przed samiutką wojną, nie wpadła na ten znakomity pomysł i nie ka-
zała zapisać mnie pod imieniem Benek? Może miałbym
więcej szczęścia u kobiet, bo w życiu na pewno. I jako
magistrowi filologii rosyjskiej wyszłoby mi to na lepsze,
nie wałęsałbym się po zagmatwanym świecie, w któ-
rym nie ma miejsca dla przechrztów, a ja od dziecka
jestem przechrztą. Ileż razy ludzie zmieniali nie tylko
imiona czy nazwiska, leci i twarze. Na przykład taka
Norma Jean przechrzcila się na Marilyn Monroe, Ale-
ksander Głowacki na Bolesława Prusa, Jadwiga Scha-
yer na Adę Sari, kwadratowogłowy Jacho Byk na Ja-
na Samskiego. Nie trzeba zmieniać poglądów ani żon,
ani mieszkań, wystarczy przybrać fascynujące imię,
czasem nazwisko, i sukces murowany. A czy ja nie
mógłbym od tej chwili być Benedyktem von und zu
Wittelbachem? Albo Benedyktem Piątym? Albo Bene-
dyktem hrabią Kowalskim? Mógłbym, mógłbym —
cieszyłem się powtarzając swoje nowe imię. Od dziś
wszystkie swoje bajki dla dzieci i reportaże społeczne,
bo jedynie takie piszę, zacznę podpisywać... No, jak?...
A jeśli to nie wystarczy, żeby osiągnąć sukces? Zmie-
niwszy imię, miejsce zameldowania — można patrzeć
na świat z góry?

Obudziłem się jednak jako Bonawentura, to zna-
czy nic nie pamiętałem z wczorajszego uroczystego
chrztu, a już na pewno tego, że Susan była tą piękną
dziewczyną ze zdjęcia retuszowanego w firmie „Foto-
Feliks-Express”. W ogóle nie pamiętałem Susan. Ale
musiała być. Proszę, oto jej biustonosz utkany w
mgiełki tiulowej, majteczki-nie-majteczki, ślady szmin-
ki na poduszce. Odrzuciłem kołdrę i otępiałym wzro-
kiem przejechałem po prześcieradle, było czyste, ani
plamki, tylko kilka skręconych włosów, czarnych. Nie
moje! Przecież jestem blondynem, albinosem od ko-

stek po uszy, bo wyżej to już nie mam ani jednego kłaczka. Więc Susan była? Musiała być, skoro znalazłem tych kilka czarnych włosów. I co, spała obok mnie? Kto w to uwierzy? A ja...? Jak kłoda leżałem? Eunuch może by i leżał niuchając najwyżej zapach perfum, ale nie ja. Boże! to może i...?

— Aleś się skuł, stary bawole — tymi słowami powitał mnie Wańka. — Grzmotnij se. Na kaca najlepszy klin.

— A Susan? — spytałem cicho.

— Zadowolona. Dobry jesteś.

Koniec ze mną. Wpadłem po same uszy.

Nie byłem pewien, czy dziś wolna sobota, czy też niedziela robocza. A może to już poniedziałek? Pokój wirował wraz ze mną, Wańka to wydawał mi się łysy jak ja, to znowu brodaty. Chorowałem strasznie.

Brrr, drżałem naprawdę, lecz tylko chwilę. Wlałem w siebie szklankę żytniówki. Znowu brrr. Świętą rację ma Wańka, nie pastylki thenaldinu, nie kwasek cytrynowy z mlekiem, nie kapuśniak, nie zupa ogórkowa, ale kryształowa szklanka żytniówki najlepszym medykamentem na poranne uzdrowienie. Dopiero w tej chwili doceniłem mądrość i wielkość Wańki. Gdy poczułem się lepiej, spytałem:

— Nie poszedłeś do biura? Urlop?

— Służbowo w Zielonej Górze — odrzekł najpoważniej. — Na tydzień wziąłem delegację. Jak pojedziesz do swojej redakcji, to ostemplujesz mi druczek u siebie i jeszcze gdzieś, najlepiej w Kawu. Trzy-cztery pieczątki wystarczą. Daty niech nie wpisują.

Czy mogę odmówić? On do mnie jak do najmłodszego szwagra, obiadem poczęstował, żytniówki eksportowej nie szczędził, w dodatku Susan wepchnął do wyzębionego łóżka. A i teraz nie opuścił w biedzie. Samarytanin. Brat miłosierdzia. Inny by machnął ręką

i poszedł do biura, Wańka nie, szklanekę żytniej do
łóżka przyniósł i o zdrowie spytał. Najprawdziwszy
przyjaciel. Nawet się po nim tego nie spodziewałem.
A ja co? Rower mu w szóstej klasie buchnąłem. Na
lekcjach matematyki jak samolub zakrywałem zada-
nia i nie pozwalałem odpisywać. Oj, źle postępowałem,
bardzo źle. Mea culpa, mea maxima culpa. Ale teraz
postanowiłem zedrzeć ze siebie stare odzienie, spalić
je, zmienić się. Od dziś nie jestem Bonawenturą, lecz
Benkiem, najlepszym przyjacielem najlepszego przy-
jaciela.

— Wpadłeś Susan w oko — oznajmił mój szkolny
kolega i po raz drugi czy trzeci szklanki napełnił żyt-
niówką. — Wpadłeś, Benek. Wpa-dłeś — przeciągnął
śmiejąc się dwuznacznie.

Chciałem spytać, w które oko, ale się zawstydzi-
łem, bo on do mnie już nie jak do brata, lecz jak do
szwagra, a ja co? Z Susan się wyśmiewam? Byłem
przekonany, że wpadłem nie tyle w oko Susan, co spod
deszczu pod rynnę. I zaraz przypomniałem sobie słowa
Gogola, że przecież nie ma nigdzie dwóch osób, które
by akceptowały to w ten sam sposób.

— Ubieraj się. Umówiłem cię z naczelnikiem.

— Z naczelnikiem? — spytałem zdziwiony. — A,
rzeczywiście, zamierzałem złożyć inauguracyjną wizy-
tę gospodarzowi gminy.

— Czekaj punktualnie o dwunastej, tak jak pro-
siłeś.

Prosiłem? Kiedy? To może i Susan padłem do nóg
i błagałem ją o rękę? Coś ty, pismaku w pierwszym
pokoleniu, nagadał? Ledwieś odnalazł druha, chrzest-
wódczany przyjął, i już chcesz się żenić? Zerknąłem
ukradkiem na Wańkę: mrużył szkliste oczy.

— Czy wiesz, że on cię jeszcze pamięta?

— Naprawdę? — Lecz zaraz spytałem: — Kto?

— No, naczelnik. Gnida, przepraszam, towarzysz Gnidowski. Musisz wiedzieć, że zmienił nazwisko. Gnidowski brzmi poważniej i po polsku — pouczył mnie Wańka. — Towarzysz Gnidowski w zeszłym roku zao-
cznie zrobił inżyniera magistra od rolnictwa.

— Od rolnictwa?! — znowu się zdziwiłem. Ileż niespodzianek spotyka mnie w porzuconej rodzinnej gminie! Wańka jakby spodziewał się tego.

— Urząd Gminy dostał jedno miejsce na studia rolnicze bez egzaminu. Sulechów otrzymał skierowanie na akademię plastyczną, Wolsztyn na śpiew estradowy, a my najlepsze — na rolnictwo i w dodatku bez egzaminu. Sekretarz Kaemu, Stacho Kopfla, nie poradziłby sobie, dużą maturę robił na wieczorówce, kierowniczka domu handlowego akurat miała małe dziecko, z Szelmochem, ale to tajemnica — ściszył głos — ja jeszcze kopałem w „Zielonych”, to kto miał studiować? Namawiałem Susan, myślałem o mojej starej. W końcu na poszerzonej egzekutywie uradziliśmy, że naczelnik musi wykorzystać okazję. Oddamy miejsce bez walki, to na drugi rok wykreślą nas z listy, nie?

— Inżynier magister, mówisz? Hm, hmmm.

— Jak skończył, chciał brać się za doktorat, ale akurat wtedy posadzili na sześć lat, za jakąś głupotę, kierownika majątku. To gdzie miał prowadzić te badania specjalistyczne? Nie, majątku jeszcze nie skasowali, bo i po co? Przysłali z Zielonej Góry takiego służbistę, ledwie po studiach, i zaczął się wymądrzać. Egzekutywy nie słucha, naczelnika lekceważy, mnie... Przed gorzelnią kazał postawić stróża z dubeltówkę, a na bramie napisał: „Wstęp surowo wzbroniony”.

Właściwie powinienem już wracać do redakcji, miałem zebrany materiał do pierwszego reportażu i na zapas. Wiedziałem wszystko, tak mi się wydawało, na-

wet więcej niż bym sam zauważył. To może dać sobie spokój z naczelnikiem?

— Za pięć dwunasta! — wrzasnął Wańka zrywając się jak oparzony. — Ubieraj się, a ja telefonicznie zapowiem, że już wyjeżdżamy.

1983

TAKA LUDZKA CIEKAWOŚĆ

Słojewski był znudzony, znowu zapalił papierosa, drugiego z kolei; nie spostrzegł, kiedy zimny deszcz, chociaż to lipiec, przestał padać. W ciasnej kabinie ciepło i sucho, ani bzyczenia kąśliwych komarów, tego roku tak rozplenionych, że wszędzie ich pełno, dymu się nie boją, a na apteczny komartex siadają i zlizują go jak miód pszczeli, ani natrętnej muchy, spokój, czuć jedynie smrodliwą woń spalin, lecz do tego Słojewski już się zdążył przyzwyczaić, nawet go nie duszą, bardziej już odczuwa wywołujący przeciągły kaszel dym papierosowy. To co, rzucić palenie? Od dziecka pali i teraz miałby przestać?

— Dobrze, że mam już ten traktor — powiedział do siebie i mocno chwycił kierownicę w dłonie. — Wcześniej trzeba było kupić, a nie dopiero na stare lata. I co bym zrobił? Deszcz leje, zimno jak w listopadzie, a ja na wozie niczym zmoknięta kura? Młodym chłód nie szkodzi, mnie tak. A co, nie należy się lżejsza praca, taka akurat w traktorze, w cieple, gdzie wystarczy tylko guzik naciskać?

Zamyśliwszy się nie zauważył, że od godziny, a może i dłużej nie padało; nad placem składowym wisiały jeszcze mleczno-siwe chmury deszczowe, wol-

no przesuwające się za daleki las sosnowy. Od kilku tygodni nie widać nawet małego kęsa słońca, a tu już żniwa, połowa lipca, zaraz zaczną telepać się po polach kombajny, idzie czas koszenia żyta, zwózki słomy na podwórza, do stodół, ustawiania spiczastych stogów, kontraktowanych dostaw do magazynów, jak każdego roku o tej porze. Ten zielony traktor, jeszcze pachnący farbą, Słojewski niespodziewanie otrzymał w zeszłym roku, późną jesienią, za odstawione w terminie zboże, od samego naczelnika. Wcale nie prosił, naczelnik sam mu zaproponował, w obecności sekretarza komitetu wojewódzkiego, a on tylko na to czekał. Miał pieniądze, nigdy mu złotych nie brakowało, gdyby mógł, kupiłby wcześniej, ale o talon dawniej nie było łatwo, zawsze ktoś go uprzedzał. Już myślał, że nigdy nie rozstanie się z końmi; troszkę mu szkoda, bo co żywe, to nie maszyna, która psuje się, nie wiadomo dlaczego, choć niby dba o nią jak o konie, a może jeszcze lepiej. Koniom wystarczyło raz dziennie wiaderko chłodnej wody prosto ze studni, kilka garści owsa, sucha ściółka, wszystko własne; do traktoru potrzebne są części wymienne, których w magazynie prawie nigdy nie ma. Ale, dziękować Bogu, traktor Słojewskiego jeszcze nowy, dba o niego jak o konie, codziennie z rana szoruje go do zieloności, dolewa to oleju, to smaruje to wotem, na noc wstawia go do stodoły, żeby nie rdzewiał; kosztował dużo, to i szkoda, by się nagle zepsuł.

— Hej ty! — nie ruszając się z siedzenia zawołał na traktorzystę majstrującego przy innym traktorze, obłoconym, podrapanym, na błotnikach zardzewiałym. — Podejdź tu!

Traktorzysta jedynie podniósł głowę, obojętnym wzrokiem spojrzał w stronę Słojewskiego, jakby nie usłyszał wołania, nie ruszył się z miejsca. Wyglądało na to, że jest bardzo zajęty.

— Do ciebie mówię! — znowu krzyknął gospodarz.
— Chodź, chodź! Mam do pogadania.

Niski, o twarzy nalanej, jakby opuchniętej, oczach wciśniętych w wałki skóry, w za dużych butach gumowych, traktorzysta poprawił czapkę zsuniętą na czubek głowy, jeszcze chwilę stał przy swoim traktorze, jakby się zastanawiał, kto do kogo ma podejść, a potem, ciągnąc za sobą ciężkie buty, rozbryzgując deszczówkę na boki, podszedł do Słojewskiego. Nie wyciągnął ręki na powitanie.

— Czego chceta? — stanąwszy w rozkroku ponurym głosem spytał.

— Z majątku?

— Przecie widać, co kombinat — odparł pewnie i zaczął oglądać traktor. — Nowy? Bez remontu pochodzi przynajmniej dwadzieścia lat.

Słojewski milczał, nie wiedział, co ma odpowiedzieć, przywołał go z ukrytą nadzieją poszukania pomocy, ale teraz, gdy on powiedział, że traktor dobry i dwadzieścia lat nie będzie się psuł, zaplanowana rozmowa stała się całkiem zbyteczna. A jeśli kłamie w żywe oczy, mówi tylko tak, żeby coś powiedzieć, przecież niedoświadczony dworus, może rok-dwa jeździ w majątku, zna, nie zna się, musi coś mówić, tak ich tam uczą. Na pewno śmieje się, wie przecież, jakie te dzisiejsze traktory są. Niby nowe, farbą pachnące, a jechać nie chcą i nikt nie wie dlaczego. Koń co innego, machniesz batem, nie po zadzie, w powietrzu tylko, a on rwie do przodu, nawet się nie ogląda.

— Mam do ciebie interes — powiedział spoglądając za siebie, jakby się bał, że go ktoś podsłuchuje, ale nikogo w pobliżu nie było, tylko kury wybierały z błotnistej mazi drobne kamyki przemieszane z okruskami ziarna.

— No, co za interes ma kułak?

Kułak? Słojewski zamilkł. A co on sobie myśli? Kułak? Ja? No to popatrz, za czyje kupilem, za czyje... — walczy w myślach ze sobą. Już by wyjął ukrytą za pazuchą książeczkę oszczędnościową, pokazałby, ile musiał wydać na nowy traktor, ale zmienił postanowienie. Po co, co obchodzi jakiegoś dworusa, ile kosztował traktor?

— Myślisz, że bez remontu pochodzi dwadzieścia lat?

— Dwadzieścia lat bez remontu! — zuchwale wrzasnął traktorzysta. — U nas w kombinacie po trzech latach remont kapitalny, po pięciu na złom albo do kułaka. Kombinatowi naprawa się nie opłaca. Kułakom — jak to jest? — musi się kalkulować, inaczej by nie odkupowali.

Żadna nowość, nie od dziś, zawsze można było tanio kupować majątkowe traktory; kombinat ogłaszał w gazecie przetarg nieograniczony, z najdalszych wsi zjeżdżali kupcy, brali hurtem ten niby złom, a potem oni ogłaszali w tej samej gazecie, że jest do sprzedania traktor po remoncie. Słojewski często czytał podobne ogłoszenia, kilka razy jeździł pod wskazany adres, zawsze za późno, już ktoś sprytniejszy go wyprzedził.

— Dobrze konserwowany. Opony się zedrą. Tylko to trza będzie wymienić — traktorzysta dodał głosem pewnym.

— Opony? A u was... — gospodarz obejrzał się dokoła — nie można kupić?

Słojewski sam nie wiedział dlaczego, ale od dziecka nienawidzi tych z majątku, nic nie ma do ludzi, zwyczajnie nienawidzi, jak nie lubi fasoli czy ryżu na mleku. Patrzył na nich ślamazarnie wlokących nogi za sobą, podpitych, obojętnych, i mełł w myślach, że to oni są winni jego nieszczęść, nawet teraz zamknięty

magazyn to też ich wina. Dlaczego? Nigdy nie potrafił odpowiedzieć, choć czasem się nad tym zastanawiał, kiedy indziej był przekonany, że wspólnie z kierownikiem kombinatu mógłby osiągnąć więcej. Na posiedzeniu Gminnej Rady Narodowej zawsze popierał kierownika, stawał w obronie majątku, przytakiwał, ale gdy się później spotykali w gospodzie, kiedy kierownik odprowadzał go na bok i szeptał do ucha, Słojewski wcale nie słuchał. Czuł nie znany mu wcześniej wstręt do majątkowych. Przydzielano ziemię — rękę wyciągał kierownik; rozdzielano nawozy — wołał kierownik; zawsze on otrzymywał, nigdy Słojewski. Może dlatego nienawidzi majątkowych?

— Jak się da, to się coś zrobi — filozoficznie odparł traktorzysta, wyjmując z kieszeni spodni zmieciowane papierosy. — Tylne? Przednie? Kiedy? Dokąd dostawić?

— Zapłacę tyle, ile się należy. Najlepiej na kwit.

— Na kwit można kupić nowy kombajn. U mnie luksus, adres i dostawa na miejsce. Trzy patyki tylna, dwa przednia. Kiedy i gdzie?

— Kradzione? — domyślił się gospodarz.

— Przecie nie z magazynu gieesu. Tera łatwiej o kostkę masła niżli o opony. U nas w majątku z pięć traktorów stoi na kołkach, bo opon brakuje, ale dla kułaka będą. Nowe.

— Szkoda pieniędzy — stwierdził. W myślach miał co innego. Doszedł do wniosku, że opony są na pewno tańsze, a traktorzysta chce go wykorzystać. Ile taka opona może kosztować?

— Pewnie, że szkoda. Traktory nowe, roboty pełno, a nie ma czym robić. Tak rządzą. Przed wojną do tego by nie doszło. Zamrożony kapitał. Brak opon, nie ma uszczerek, zaczepy poobrywane, taka gospodarka — spluwając za siebie, obojętnie machnął ręką. — Daleko

nie zajedziemy. Kierownik jak kierownik, może i chce lepiej? tłumaczy się przed nami, jeździ do gminy, e, szkoda czasu i benzyny... No, dla was się zrobi. A bo to jaki kułak kupuje części w gieesie? Wystarczy mnie powiedzieć... To jak, potrzebne są opony? Bo chętnych dużo.

Słojewski milcząco wlepił wzrok w traktorzystę. Nie bał się, ale i nie był przekonany, czy teraz, kiedy jest radnym, może kupować kradzione opony, bo na pewno kradzione. Jeśli nie skorzysta z okazji, przecież to jedyna okazja, nigdy więcej może nie kupić. A jak opony znowu podrożeją? O wszystko trudno. Są nowe traktory, to opon do nich nie ma. Co tam opony! Nadchodzi czas siewów, a tu brak nawozu. Od rana stoi przed magazynem, czeka, przeklina, psy wiesza na magazynierze, chociaż deszcz i robota żadna, jednak czasu szkoda, mógłby odpocząć, poleżeć na kozetce, nawet książkę poczytać. Nawóz potrzebny; to nic, że jeszcze żyto nie skoszone, potem, kiedy zaczną się żniwa, nie będzie czasu na wystawanie przed magazynem.

— Zgoda — rzekł zdecydowanie. — Przywieź w niedzielę wieczorem. Jakby coś...

— Spokojna głowa. Nie pierwszy i nie ostatni raz, choćby Knastowi.

Na krótką chwilę pękły chmury i w tej szparze pokazało się słońce. Było blade, wynędzniałe, jakby schorowane, wracające ze szpitala rejonowego. Ciężkie będą żniwa, na pewno cięższe niż zeszłoroczne — przemknęło Słojewskiemu w myślach. Zboża dużo, trzeba będzie każde ziarno suszyć, mokrego przecież nie sprzeda, za mało płacą.

Spieszyło mu się, zerknął na zegarek: dochodziła dwunasta, a magazyniera jak nie ma, tak nie ma. Miał zaraz wrócić, obiecywał, przyrzekał, że tylko piwo wy-

pije, bo go strasznie suszy. Uwierzył, nie uwierzył, nie chciał się kłócić, ale mógł krzyknąć, że on, Erich Słojewski, jest radnym, nie byle jakim gospodarzem, kiedyś spotka naczelnika, na pewno wyrzuci złość z siebie. Co z tego? Naczelnik wysłucha, pokiwa głową, poczęstuje go papierosem, coś odpowie, albo i nie, a magazynier znowu będzie wychodził na małe piwo. Zimą niech chodzi, ale teraz, kiedy żniwa tuż-tuż i on, najlepszy gospodarz w całej gminie, stoi przed zamkniętymi na kłódkę drzwiami magazynu, nie powinien tego robić.

— Pan naczelnik ma gości z województwa — ponurym głosem poinformowała go ziewająca dziewczyna, którą dobrze znał z posiedzeń rady gminnej. Nie podnosząc głowy znad kartek papieru dodała: — Będzie zajęty aż do wieczora.

— Ja tylko na chwilę.

— Jutro. Wszyscy na chwilę. No, co tak stoicie?

— Jutro mogą być już żniwa. — Słojewski wyrzucił to ze siebie prawie krzycząc. Wbrew sekretarce chciał wejść do gabinetu naczelnika, już nawet wytarł spoconą dłoń, usta zwilżył śliną, odchrząknął, ale właśnie w tym momencie drzwi się szeroko rozwarły i pokazała się w nich koścista twarz.

— Nie ma mnie dla nikogo, pani Izo. Cztery kawki i jakieś kieliszki... — urwał w połowie, bo zauważył Słojewskiego przestępującego z nogi na nogę. — Czego?

— Na chwilę z...

— Zajętym, ani chwili czasu, kochany Słojewski. Dziś mnie nie ma. Dla nikogo — wycedził przez zęby. — Przyjdźcie jutro, z samego rana, tak koło dziesiątej, znajdę kilka minut. Teraz rozmawiam z wicewojewodą rolnym. Żniwa, kochany, trzeba omówić. Wam co?... A ja muszę zaplanować, rozliczyć się...

Zza drzwi obciągniętych fioletową dermą dochodziły przytłumione głosy, jeden z nich wydawał się Słojewskiemu znany, gdzieś już go słyszał. Zamiast coś jeszcze powiedzieć, zaczął się zastanawiać, czyj to głos, na pewno już gdzieś go słyszał, tylko gdzie i kiedy.

— Do widzenia, Słojewski, do jutra, dziś nic z tego nie będzie.

— No tak, no tak — zamknąwszy drzwi za sobą jeszcze długo powtarzał: — no tak, no tak...

Źle postąpiłem, trzeba było odepchnąć naczelnika na bok, wejść do środka, stanąć w rozkroku, mocno zaprzeć się i wszystko powiedzieć, niech znają prawdę, niech nie piją tylko kawy; kto tu jest ważniejszy: ja, najlepszy gospodarz w gminie, radny, który chce kupić nawóz, bo mi się należy tak jak cukier, jak głos w dyskusji podczas posiedzenia rady gminnej, czy ten wicewojewoda, urzędnik żłopiący darmową kawę? Tu wypije szklanę, w innej gminie drugą szklanę, czasem koniak, a jaki ten koniak, takiego nie ma w sklepie, więc skąd ma go naczelnik, tego już Słojewski nie wie, chociaż ludzie różnie mówią. Ludzie jak ludzie, trochę złośliwie, trochę zazdrośnie, może i ktoś kiedyś przyniósł jakąś butelkę, podarował. Gdyby Słojewski wszedł do gabinetu naczelnika, mocno postawił nogi na puszystym dywanie... Popatrzył na czubki trzewików: zabłocone. Dobrze, że się wstrzymał i nie wszedł, zabrudziłby dywan. Jaki wstyd, on, najlepszy gospodarz wnosi błoto do gabinetu naczelnika, nie szanuje wspólnej własności, niszczy pracę sprzątaczk?

Bezradny wyszedł z urzędu na mały rynek opięty ze wszystkich stron pudełkami niziutkich domów niedawno malowanych na różne kolory, jakby w magazynie zabrakło jednolitej farby. Z okien patrzyło na niego kilkanaście par kpiących oczu, niektóre znał. Szedł

nie zważając na te oczy, myślał o sklepie z wódką, chciał kupić tylko jedną butelkę, najtańszą, potem od-
szukać magazyniera, w ukryciu dać mu. Za darmo
dać magazynierowi? — stanąwszy pośrodku rynku
walczył z napierającymi myślami. Kto mnie daje?
Wszystkie pary oczu były wycelowane w niego, stoją-
cego bezradnie w centralnym punkcie Chłopimostu, w
obłoconych butach, w czapce głęboko naciśniętej na
głowę, niezdecydowanego, wążącego pierwszy zamysł.

— Erich! — usłyszał za sobą bełkotliwy głos. —
Dziś nawozu nie będzie.

— Mam kwit. — Włożył rękę do kieszeni chcąc
znaleźć dokument kasowy potwierdzający jego pew-
ność. — Zapłaciłem, muszę odebrać.

— Ale ja ni mam czasu. Posiedzenie komitetu
z udziałem naszego wojewody. Muszę zara iść, na-
czelnik kazał.

— Po południu zróbcie posiedzenie — zapropo-
nował gniotąc i tak już pomięty kwit. Wydawało mu
się, że magazynier żartuje, tylko tak mówi, żeby go
zezłościć. — Otwieraj, otwieraj, bo spiesz mi się.
Świnie czekają na mnie, muszę wracać i je karmić.
Już pół dnia przez ciebie zmarnowałem.

— Zmarnujesz jeszcze pół dnia albo i więcej. —
Magazynier śmiał się ze Słojewskiego. — A co ty
masz do roboty? Kombajnem wykosisz, spółdzielnia
własnym transportem zboże odbierze, jedynie po pi-
niądze sam przyjedziesz. Postawisz piwo i po kościach
gniew się rozyjdzie.

— Żeby was jasny szlag trafił! — zaklął i zaraz
zapalił papierosa. — Wcześniej nie można było powie-
dzieć?!

— Zapomniałem — przyznał się magazynier wy-
ciągając rękę po papierosa. — Tyla roboty z magazy-
nem, żem na ament zapomniał. Wszystko na moi gło-

wie, ty przyjedziesz i wołasz, a ja muszę zważyć, kwit sprawdzić, tabliczki wypisać. Porzundek musi być. Za brak ordnunu naczylnik wywalo.

— Wszyscy nie macie czasu akurat wtedy, gdy chłop potrzebuje. Wszędzie to samo, nie mają czasu, bo posiedzenia, bo wizyty. Chcecie dobrze żyć, mieć pełne sklepy, a skąd weźmiecie? na posiedzeniach się nie urodzi.

Dość szeroka asfaltówka przecinała gęsty las sosnowy ciągnący się wzdłuż pól od miasteczka do wsi. Słojewski mijał samochody lśniące jaskrawym lakierem, dzisiaj nie patrzył na nie, dawniej lubił przyrzec się, wybrać najładniejszy, najlepszy, teraz na złość sobie nie. Pełen wzdargi dla pychy magazyniera myślał o jednym: pojedzie na skargę do pierwszego sekretarza, opowie wszystko z przeszłości, powie o koniaku i kawie, zapyta, czy posiedzenia muszą się odbywać rano. Ale czy mu pozwolą rozmawiać z sekretarzem, czy nie zatrzymają go już w drzwiach, czy nie posadzą na miękkim fotelu i nie każą czekać? Ogłupiały miękkością zrezygnuje, machnie ręką, odejdzie — tego bał się najbardziej. Woli, gdy na niego wrzeszczą, wtenczas wyrywa ze siebie szorstkie, odłupane, luźne słowa, wykrzykuje; oni dobrze o tym wiedzą i dlatego każą długo czekać, niech się udobrucha, niech złość zostawi w poczekalni. Jechać? Nie jechać? Sam nie wie. Gdyby wziął ze sobą odznaczenia, dyplomy, gazetę, w której umieszczono zdjęcie: „Erich Słojewski, wzorowy rolnik z gminy Chłopimost w rozmowie z I sekretarzem”, pokazać, przypomnieć się. Na pewno popatrzą. Czy coś powiedzą? Może spytają, kiedy żniwa i czy zbierze dużo ziarna. A potem będą obiecywali pomoc. Straci pół dnia, pieniądze na bilet — tyle z tego będzie, bo wszyscy jednakowi. Wicewojewoda na pewno słyszał głos Słojewskiego, dlaczego

nie spytał, po co przychodzi? Naczelnik przyjeżdża wówczas, gdy potrzebuje pomocy. Tak było wiosną. „— Pierwszy sekretarz Kawu odwiedzi naszą gminę. Zaproponowałem, żeby zobaczył wasze, Słojewski, gospodarstwo. Lepszego w całej gminie nie ma. Przeszłość też macie bohaterską, od lat rodzina na Chłopi-mojsczyźnie”. Chciał tego? Nie, bo co powie Knast, kiedy się dowie, a dowie się na pewno. Do sekretarza partii władza wojewódzka nie poszła, lecz do bezpartyjnego, który sprzeciwił się spółdzielni z przewodniczącym Knastem, i może jeszcze każe mu nadać jakie odznaczenie, i na dożynki centralne go pošle? Najbardziej bał się spojrzenia Knasta, tylko sąsiada, bo co go łączyło, do partii nie należy, niczego od Knasta nie pożycza, pasza tylko swoją, plany realizuje, głośno nie narzeka, choć miałyby uzasadnione powody, by porządnie zakłąć. Nie pytając, czy Słojewski zgadza się, naczelnik nakazał: „— Posprzątajcie podwórze, maszyny w rządęk, chlewnię trzeba wybielić. Wapno przywieź z spółdzielni. Czy jeszcze czegoś potrzeba? Ale przy sekretarzu żadnych narzekań, zrozumiano?” Traktor? Nawóz? „— Też będzie. Może nie dziś, do żniw na pewno, dam więcej, niż się należy. Tylko żeby nie było żadnych skarg. A potem zaprosicie sekretarza do domu, na mały poczęstunek. Nie zapomnijcie o kierowcy, od niego wiele zależy. Czasem nie kupujcie zwykłej wódki. Najlepszy koniak gruziński.”

— Gdzie ojciec ma nawóz? — spytał Stasiak wspinając się na przyczepę, jakby myślał, że na samym dnie leżą płaskie worki.

— Jutro trzeba jechać.

— Tak zawsze: jutro, jutro... Nie mówiłem?

— Dziś było za późno. Długa kolejka. Z kombi-natu przyjechało kilka traktorów, ładują całe przyczepy, a to potrwa — kłamał nie wysiadając z kabi-

ny, bał się spojrzeć w oczy syna. Stasiak szybko rozpoznałby kłamstwo, zawsze rozpozna, zerknie w przekrwione oczy i już wszystko wie. Słojewski nigdy nie potrafił skłamać, próbował, odwracał się plecami, lecz za chwilę, tak jak teraz, wyrzucał ze siebie: — Złodziej na złodzieju! Wszędzie patrzą, czy dasz im habara!

— Knast nie narzeka — piersiowym głosem powiedziała synowa. Słojewski nie zauważył jej, nawet nie wiedział, kiedy podeszła, a może stała tu razem ze Staśkiem chcąc pomóc znieść worki? Zabraniał, tłumaczył, że to dla kobiety za ciężkie, ale ona nigdy go nie posłuchała, zarzucała worek na plecy i taszczyła do szopy. — Ojciec jest radnym, Knast nie, ojciec przyjmuje gości, funduje, częstuje, i co ojciec z tego ma?

Często się zastanawiał, dlaczego Knast na nic nie narzeka. Przychodzi do sklepu, siada z butelką piwa na pustych skrzynkach i tylko tym swoim kocim wzrokiem wodzi po złych, naburmuszonych twarzach sąsiadów. Teraz też nie wystaje w kolejkach po nawóz, nie woła o kombajn, nie przeklina naczelnika, tak jakby nic go nie interesowało, choć też jest dobrym gospodarzem, takim prawie jak Słojewski.

— Kopfla Stacho wrócił — powiedziała synowa śmiejąc się.

— Po co?

— Będzie gospodarował po ojcu.

— Oni wszyscy narobią!... Diabła zjesz i wodą popijesz... Teraz, mówisz? wrócił. Jak stary ledwie chodzi, on wraca?

Wygramoliwszy się z kabiny poszedł w kierunku nowej chlewni, świnie przeraźliwie kwiczały, była pora karmienia, potem obejrzał oborę, popatrzył jeszcze na pustą stojnię. Naraz żal mu się zrobiło koni, przy-

zwyczajony był do rannego czesania grzyw, do noszenia wiader z zimną wodą, teraz tego nie ma, smutna cisza, jakby niespodziewany koniec. Niechby koń tylko stał, miałby Słojewski drobinę radości, cieszyłby się jak małe dziecko, któremu nie odebrano starej zabawki. Sam nie wie, dlaczego akurat teraz przypomniawszy się ojciec. Oto siedzi w głębokim koszu wiklinowym pełnym siewki, paląc papierosa milczy, choć on pyta go o smak bigosu, pierogów z serem, które były na obiad; ojciec patrzy na wąskie kosmyki światła przeciskające się przez szpary w dachu i nic nie odpowiada. Twarz podrapana, szorstkie dłonie ukryte w brudnych bandażach, tak siedzi nie wydobywając ze siebie żadnego słowa, jakby był martwy, choć na pewno żyje, przecież jest obok niego. Już nigdy więcej ojca nie widział. Ktoś mu opowiadał, że na rynku chłopimojskim Ginter Słojewski zgubił druczane okulary, chciał je podnieść, schylił się i wtedy padł krótki strzał. Ojciec długo związał się w konwulsyjnym bólu, a oni, policjant Heinz Knast wraz z synem, pokazywali wołając wesoło: „Kto jeszcze?! No, kogo zostawić w waszej ziemi?! Polnische Schweinereise! Raus!” Chyba tam, w otoczeniu pudełkowatych domów, wówczas malowanych na kolor szary, skończył Ginter Słojewski? Wtedy też Erich przysięgł sobie, że będzie najlepszym gospodarzem, lepszym od ojca, od młodszego Knasta, który pozwolił pod osłoną gwiazdzistej nocy pochować ojca na cichym cmentarzu chłopimojskim, gdzie kruche mogiły pradziadków i prababek.

Za podwórzem ciągnął się kiszgowaty ogród warzywny, dalej było już tylko pole, długie aż do lotniska, kłosaми ocierające się o zboże Knasta, tego, który widział śmierć jego ojca, który kilka lat później wytykał Ericha Słojewskiego mówiąc, „że brak mu trzeźwego spojrzenia”. A on wiedział o wszystkim, nie

bierano mu pole tylko dlatego, że klinem wcinało się chodzi skamlać, nie padał przed Knastem, gdy zabierano mu pole tylko dlatego, że klinem wcinało się w grunty spółdzielni. Żyto pachniało ciastem chlebowym, palcowate kłosa koloru miedzianego gięły się ku mokrej ziemi. Słojewski wydłubał kilka mlecznych ziarenek i rozgryzł je w zębach na miazgę. Najdalej za tydzień rozpocznie żniwa, a potem zasieje tu jęczmień, żeby znowu nie wystawać w magazynie po śrutę dla świń, wszystko musi mieć swoje. Spojrzał jeszcze na pole Knasta; gdyby nie wąska miedza rozdzielająca pochylone kłosa ołowiane, nigdy by nie wiedział, gdzie biegnie granica. Cieszyło go to i smuciło, nie będzie mógł powiedzieć, że w tym roku miał najlepsze żyto. Krótkotrwałe słońce niemiłosiernie paliło w plecy, powieki kleiły się mu, usiadł na chwilę tylko starając się nie zasnąć. Jak długo tak siedział, tego nie wiedział, obudził go przeciągły głos Staśka:

— Ojciec! Ojjjcieeeec!

Zerwawszy się na sztywne nogi prawie biegł, zapomniał o zbożu, o żalu do Knasta, o wszystkim zapomniał. Zdarzało się, że Knast kazał wołać pogotowie ratunkowe, bo Słojewski chory na głowę. Zrobił tak, gdy sąsiadowi odbierano pole. Tego Słojewski bał się najbardziej, może bardziej niż niewdzięcznego, karzącego spojrzenia naczelnika, wizyty u sekretarza w komitecie, która wcześniej czy później stanie się faktem dokonanym.

— Wszędzie was, ojciec, szukam, wołam, a wy tu.

— Patrz, za tydzień żniwa. — Ręką zgniótł kilka płowiejących kłosów żyta. — Żeby tylko pogoda się poprawiła.

— Jakiś przyjechał, mówi, że jest z gazety...

— Z gazety? — nie pozwolił dokończyć. Wierzył w zdalne odczytywanie myśli. Będzie mógł wszystko

opowiedzieć, nie musi jechać do komitetu, wyżali się na miejscu, we własnym domu wyrzuci ze siebie kamienie goryczy.

O spodnie wytarł spocone ręce, czapkę poprawił tak, żeby zasłaniała rażące w oczy słońce, dla dodania sobie powagi zapalił papierosa; idąc obok syna wcale go nie słuchał, nie patrzył też pod nogi, szedł jakby zamroczony. Dopiero ujadanie psa ocuciło Słojewskiego, przystanął zwracając się do Staśka:

— A czego ten redaktor chce?

— Mówi, że tylko pogadać z wami. Nie pytałem dokładnie — przyznał się Stasiak zwieszając głowę jak złamana gałąź.

— Na pewno zrobi nam zdjęcie, bo po co by jechał taki szmat drogi? Do żniw jeszcze trochę czasu. Nie ogoliłem się. — Ręką pociągnął po brodzie. — Młody, stary? Był już kiedyś?

— Mówił swoje nazwisko, jakieś znane: Gorzki czy inaczej?

— Gorzki, Gorzki, a może Słony? — Słojewski powtarzał: Gorzki, Słony, i drżał jak żdźbła żyta na wietrze. Sam nie wiedział, dlaczego się boi. Jeszcze przed chwilą miał mu tyle do powiedzenia, teraz całkiem się zagubił, myśli umykały jak muchy odpędzane wiechciem słomy z końskich grzbietów.

Zajrzał do świń, sądząc, że tu na pewno wróci z dziennikarzem. Świnie leżały na suchej słomie ciężko dysząc, posłyszawszy otwieranie wrót, wspięły się na przednie nogi. Było tu dość czysto. Mógł przyprowadzić niespodziewanego gościa. Wychodząc zauważył czarną tabliczkę z nieaktualnymi zapisami.

— Wypisz tu, Stasiak, ile jest świń, ile macior, no i resztę. Ja już pójdę, bo gotów nie czekać na mnie. Im teraz zawsze gdzieś się spieszy, ledwie wpadnie, zerknie to tu, to tam, i już go nie ma.

Dziennikarz, mały, lekko pochylony do przodu, siedział w pokoju gościnnym, w którym Słowscy przyjmowali najznakomitszych gości. Rozglądając się zatrzymał wzrok na okienkach dyplomów zawieszonych na ścianie tuż obok ślubnego portretu. Słowski nie wszedł do pokoju, stanąwszy za przeszklonymi drzwiami lekko uniósł zasłonkę, koniecznie chcąc zobaczyć twarz gościa. Kto to może być? — pytał sam siebie. — Gorzki? Nie znam. Słony? A, niech będzie Gorzki. Nacisnąwszy klamkę zastanawiał się jeszcze, co ma powiedzieć, samo „dzień dobry” nie wystarczy, w końcu zrezygnował z wylewnego powitania, postanowił czekać i nie odzywać się.

— Tak myślałem, tak myślałem. — Dziennikarz potrząsał wielką dłonią Słowskiego. — Pamięta pan?

Słowski stał w rozkroku nie mogąc wydobyć ze siebie żadnego słowa. Nic nie pamiętał.

— Kazimierz Słodki jestem... Kilka dni temu razem odbieraliśmy odznaki honorowe za zasługi dla naszego województwa. Pana ustawiono po mojej lewej stronie. Zawsze ustawiają według liter alfabetu. Dobrze zapamiętałem pańską twarz; ta sama, ta sama. Pamięć jeszcze mnie nie zawodzi, choć człowiek w takiej chwili jest mocno podniecony. Tyle jednak zapamiętałem. Mnie pan sobie nie przypomina? Kazimierz Słodki z działu rolnego gazety. — Znowu potrząsnął łopianowatą dłonią Słowskiego.

— Jakby przez mgłę — odparł, w rzeczywistości niczego nie pamiętał. — Tyle ludzi, władze wojewódzkie, no i pierwsze odznaczenie, pomieszało mi się.

— Pierwsze?

Usiedli przy dużym, okrągłym stole pośrodku pokoju, Słowski w milczeniu przypatrujący się twarzy dziennikarza, czekający na pytania, których się straszenie bał. Zastanawiało go jedno: czy w domu jest wód-

ka? Musi poczęstować, gość z gazety, takiego trzeba dobrze ugościć, wtenczas napisze ciekawiej. Po krótkiej rozmowie o wszystkim i o niczym wyszli na podwórze nakryte ciężkimi pierzynami chmur deszczowych. Tu Słojewski pokazywał maszyny szeregiem stojące w nowej szopie, potem przeszli do chlewni, potem jeszcze do ogrodu. Teraz wydawało mu się, że jakby czegoś przybyło, większy porządek panował w obejściu, podwórze rozparło się na boki. Niewiele mówił, ciągle czekał na pytania, a dziennikarz tylko zaglądał i notował. Spod papierówki zasadzonej jeszcze **przez ojca podniósł kilka jabłek**, nie były dojrzałe, zrobił to z przyzwyczajenia, które zawsze kazało mu podnosić wszystko to, co leżało na podwórzu. Wbiwszy zęby w kwaśne jabłko dziennikarz spytał:

— Czy mogę napisać, że jest pan najlepszym gospodarzem w gminie? Może inaczej: kto ma więcej świń — pan czy Knast?

— Ja. Ale Knast chyba lepszy, bo wcześniej kupił traktor.

— Inne pytanie, proszę nie mieć mi tego za złe: dlaczego nie należy pan do partii?

Słojewski przez krótką chwilę zastanawiał się, było to zbyt łatwe, w myślach miał gotową odpowiedź, której wcale nie musiał układać, wielokrotnie już z trudem wypychał ją ze siebie.

— Byłem. W pięćdziesiątym czwartym wyrzucono mnie, bo nie chciałem przystąpić do spółdzielni. Wydawało mi się, że... — urwał zapalając papierosa. — Tyle lat czekaliśmy, ojciec, ja. Znowu bylibyśmy bez ara ziemi... Potem Knast, znaczy się, sekretarz naszej partii, mówił, żebym się zapisał... Dwa razy nie będę o to samo prosił. Zresztą wtenczas oni, nie ja, uznali mnie za zbyt łatwego w partii.

— Ma pan żal?

— Orzę, sieję, hoduję świnie... Syn, synowa należą do partii od dawna... Chodźmy do domu, coś przekąsimy, wypijemy, pogadamy. Chyba że pan redaktor chce jeszcze obejrzyć pole? Na co patrzeć, żyto jak wszędzie, ani ładniejsze, ani gorsze.

Niebo znowu opatuliły ołowiane chmury. Skulone kwoki siedziały na kurczętach w drewnutni, pies podciągnął ogon pod siebie i bez żadnego zainteresowania głową wodził za gościem, świnie w chlewni też umilkły. Słojewski poczuł głód; była już późna pora popołudniowa, czas na spóźniony posiłek.

— Nam przygotuj coś w pokoju — powiedział do żony czekającej na ganku. — Tam w ciszy pogadamy sobie, bo na pewno pan redaktor ma jakieś pytania. A jeśli nie ma pytań... wypijemy po małym kieliszku na zdrowie.

Dziennikarz jakby tylko na to czekał, nawet nie próbował odmawiać, protestować, co się niektórym gościom tego domu czasem zdarzało. Słojewski dobrze znał naczelnika, wiedział, że tylko przy stole gęsto zastawionym może z nim porozmawiać, nie zawsze szczerze, lecz ze skutkiem dla siebie. Nie dziwiło go, żona potrafi smacznie ugotować, synowa, choć za Bugiem chowana, zgrabnie ustawi na stole, a Stasiak zawsze coś przygotowuje, niby poczęstunek dla dzieci. Jaki ten poczęstunek ma być, Stasiak dobrze wie, najlepiej trochę świeżych, prosto z kurnika jaj, dwa-trzy pęta pachnącej, obrązowanej kiełbasy, naczelnikowi nawet nie pożałował worka pszenicy. Dla Słojewskiego to żaden wydatek, w przyszłości czasem pomóc może, chociaż dzisiaj okazał się zupełnie nieprzydatny. Więc i teraz też kazał coś zapakować, skromnie, lecz wystawnie, ma być kawałek szynki i jajka.

— A syn pomaga panu?

— Jak się ożenił, wrócił do domu. Wcześniej robił

na kolei, ale mało zarabiał; dla młodego pieniądze najważniejsze; i nie było mieszkania, i co dnia musiał dojeżdżać, a to coś osiem kilometrów... Dla kogo to wszystko? — Ręką zatoczył koło wokół siebie. — Dla niego, dla wnuków, nie dla mnie. Póki mogę, póki siły starcza, hoduję świnię i sprzedaję państwu.

— Prawie wszyscy rolnicy narzekają na brak pa-szy.

— Ja nie. Przy tak rozwiniętej hodowli muszę mieć wszystko tylko swoje, nie kupuję żadnych mieszanek, dlatego się opłaca. Pytał pan redaktor o Knasta. — Na chwilę zamilkł, przeliskając ślinę kleiłą słowa w składne zdanie, sam nie wiedział, co ma powiedzieć, w końcu wypalił: — Złodziej! Tak, zwyczajny złodziej. Co z tego, że dużo świń sprzedaje państwu? Dzi-siaj sprzeda, a jutro jedzie do magazynu po paszę, bo swojej mu brakuje. To nie jest produkcja... Ale on działacz, sekretarz partii, na zebrania jeździ aż do województwa...

— Odwiedziła pana delegacja z komitetu, a nie jego, choć taki dobry. — Redaktor ciągle notował. Wyglądało na to, że zapisuje więcej niż Słojewski mówi. Jakby odczytywał z twarzy gopsodarza nawet to, czego Słojewski nie potrafi powiedzieć. — Dlaczego?

— To ja spytam: dlaczego nie poszedł pan do Knasta?... Wypijemy, będzie się nam odważniej rozmawiało — zaproponował napełniając ciężkie kryszta-łowe kieliszki wódką.

Rozmowa wcale nie biegła ścieżkami wytyczony-mi dziennikarską ciekawością. Słojewski odpowiadał półzdaniami, często przerywał, długo się zastanawiał, milczał. Im więcej wódki wypili, tym dziennikarz był łagodniejszy, w końcu odłożył zeszytik, długopis scho-wał do kieszeni i rzekł:

— Przed świętem lipcowym chciałem napisać dobry reportaż. Spytałem towarzyszy w komitecie, kogo mi polecają. A oni, wie pan, od razu: Słojewski! Słojewski! Słojewski? pytam. Czy ten z Chłopimojszczyzny, u którego był pierwszy sekretarz? Oni, że ten. Czyli znają pana nawet w komitecie.

— Teraz. — Chciał wykorzystać wizytę dziennikarza i powiedzieć o magazynierze, lecz w ostatniej chwili wstrzymał się. Będzie czekał do jutra, dopiero potem pojedzie ze skargą, opowie wszystko, albo nie, poczeka, kiedy reportaż wydrukują w gazecie.

Rozmowa zahaczała o różne tematy, więcej mówił redaktor, Słojewski tylko przytakiwał, od czasu do czasu wtrącał krótkie zdanie i napełniał wódką puste kieliszki.

— Może coś podać? — Do pokoju, ciemnego od dymu, cicho wśliznęła się gospodyni. Zauważywszy nie opróżnione półmiski, bezszelestnie się wycofała.

Słojewski wcale nie był pijany, odsunął krzesło i podszedł do obrazu wiszącego skośnie na ścianie. Zza niego wyjął zwój starych papierów. Długo szukał, w końcu znalazł pożółkłą gazetę, rozłożył ją na stole przed dziennikarzem i powiedział:

— Niech pan redaktor tu przeczyta.

— Z pięćdziesiątego czwartego? Nasza gazeta! Ileż wtedy miałem lat? Dwadzieścia sześć, początek pracy dziennikarskiej. To były trudne czasy, kolektywizacja, umacnianie władzy ludowej, agonია kultu jednostki.

— Tak — kiwnął głową Słojewski. — Ale niech pan czyta.

Dziennikarz wyjął z kieszeni marynarki okulary. Przebiegłszy wzrokiem podpis pod zdjęciem uniósł głowę i spojrzał na gospodarza, po chwili wyczekiwania przeczytał głośno:

— „Zniszczyć kulaka.”

— Teraz niżej. Wtedy byłem kwaśny, teraz jestem słodki. Jak i pan redaktor.

Gość nie protestował, znowu czytał. Skończywszy, siedział nieruchomo, jakby skamieniały, jakby coś sobie nagle przypomniał.

— O mnie, prawda? — spytał Słojewski nalewając wódkę do kieliszków.

— Zmieniliśmy się.

— Tak, tak. Zmieniliśmy się.

— Myśmy się zmienili — po dłuższej pauzie odezwał się dziennikarz.

— Zna pan tego redaktora? KAS! Niechby dzisiaj przyjechał. Nie mam żalu, takie były czasy. Wie już pan, dlaczego wyrzucili mnie z partii?... „Zniszczyć kulaka” — tak napisał KAS. A teraz przypinają odznaczenia, pierwszy sekretarz mnie odwiedza, pan chce pisać reportaż, w Komitecie o mnie mówią. Najlepszy gospodarz. Wtenczas byłem taki sam, ani lepszy, ani gorszy, tylko taki sam.

Dziennikarz, poczerwieniały na twarzy, wstał zza stołu. Nie patrząc na Słojewskiego podał mu rękę na pożegnanie, ledwie musnął swoją drobną dłonią jego ogromną, szorstką, spracowaną łapę.

— Późno już — stwierdził.

— W samochodzie jest dla pana gościniec... A kiedy ten reportaż będzie w gazecie?

— Będzie. Na pewno będzie.

— Chwileczkę, panie redaktorze, tyleśmy rozmawiali, a mnie pana nazwisko wyleciało z głowy... I jakby pan spotkał kiedyś tego KAS-a, to niech mu pan powie, żeby przyjechał do mnie. Chcę go zobaczyć. Ot, taka ludzka ciekawość.

JAK PTAKI PRZEZ POWIETRZE

Półtora roku Kobzda jakoś wytrzymał, a teraz nie może się doczekać. Rano, w obiad, wieczorem oślinionym palcem przewraca kartki w kalendarzu ściennym, ale jakby nie liczył, Wiesiek wróci dopiero za tydzień, no, może za pięć dni, a on chciałby, żeby już był przy nim, i żeby te dni ulatniały się jak woda pod wpływem gorącego lipcowego słońca. Pierwszego wieczoru siedzieliby w kuchni przy butelce wyśmienicie przyprawionej wódki, najpierw by syn opowiadał, wspominał jak tam mu było, a gdyby już wszystko wyrzucił ze siebie i zamilkł, wtedy Kobzda rzeknie: — Nie ociągaj się, bo jeszcze ktoś zajmie ci miejsce. — Mało to chętnych? Wyborek, choć jego zięć jest nauczycielem w Sulechowie, też się kręcił a pytał, a jeździł do Zielonej Góry, lecz Kobzda niby stary, nie jest wcale taki głupi, wiedział, że na miejscu z kierownikiem trzeba załatwiać. No i załatwił po swojej myśli. I teraz niech Wyborek jedzie do samego wojewody albo jeszcze dalej, nawet do ministra, niech płacze, Kobzda nie ustąpi, już on wie, z kim i jak należy rozmawiać. Bo to mało go kosztowało? Ile wódki, ile kiełbasy, ile czasu zmarnował, żeby kierownika przekabacić na swoją stronę. A naczelnika nie zapra-

szał? Zapraszał, częstował czym się dało i marnotrawił czas. To teraz, gdy Wiesiek jedną nogą prawie w domu, Kobzda miałby zrezygnować? O nie, nigdy!

Ale syn jeszcze nic nie wie o planach ojca. Kobzda leży na łóżku i chytrymi ślipiami wodzi po suficie zrudziałym, i myśli: „Może nie zechce?... Nie zechce? Ojca nie usłucha? To ja go... Zechce, zechce. Co, źle mu będzie? Dyspozytor, wielkie pieniądze. Pewnie, z pensji by nie wyżył, ale dyspozytor to jak kierownik albo jeszcze ważniejszy. Komu chce, temu maszynę wypożyczy. A jak przyjdzie pilny czas żniwowania, każdy woła, żeby najpierw kosić u niego. „I już Kobzda wyobraża sobie Wieska na kółkowym podwórzu, widzi te tysiące złotych, które gospodarze wtykają mu do kieszeni. Kto da więcej, do tego Wiesiek najpierw pośle kombajn. Co to, ludzie nie wiedzą o tym? Wiedzą, wiedzą i pieniędzy nie żałują. A jak czasem któremu za pół darmo zbierze zboże albo wcale kwitu nie wypisze, to taki tylko podziękuje? Nie, już Kobzda jest przekonany, że tysiącami wynagrodzi jego Wieska, a może i dolarami, bo to ludzie nie mają dolarów? Mają, mają. A syn cap te tysiące czy dolary i do walizki, nie do banku, lecz do walizki, która stoi na piecu w dużym pokoju. Potem razem pójdą do magazynu po cement, po cegły, po drzwi i okna. No i jak już wystawia wielki dom, sześć albo osiem pokoi, dwie kuchnie, centralne ogrzewanie, to kto będzie najbogatszy w Bramsku: Kwarta, Wyborek, może Słojewski? Nie, wtedy Kobzdzie wszyscy będą się nisko kłaniali, jak on kiedyś panu Raczewskiemu. Co tam pan Raczewski! teraz inne czasy, sprawiedliwość, wolność, o którą Kobzda walczył. To mu się nie należy dom wielki, murowany?

Rano wstaje wcześnie, a myśli się kołaczą, płaczą, ale on je dokładnie zgarnia pod czapkę i zadowolony

idzie do stajni. Lecz znowu zaczyna wątpić, bo czy wieś nie spyta, skąd ma te pieniądze. I jaki sekwestrator przyjedzie z Sulechowa. — Hola, hola — powie Kobzda — całe życie składałem. — Udowodnią, że wycyganione? Jak? Bo to kradzione? Ludzie dobrowolnie wtykali Wieškowi do kieszeni. Już to Kobzda musi przemyśleć, żeby nie wyszło gorzej. Tyle lat marzył o wielkim domu, to teraz by mu się miało nie udać?

— Drzewa byś narąbał. Siedzisz i siedzisz — złości ci się Kobździna nic nie wiedząca o zamiarach męża.

— Pał węglem.

— W kuchni? Szkoda węgla, będzie na zimę do pieców — żona znów jak osa.

— Na zimę... — urwał, bo wiadomo, że do tej zimy domu nie wystawi, to i węglem trzeba będzie palić w piecach. A skąd on tyle tego węgla weźmie? Spojrzał na żonę i pomyślał, że ona ma rację. — Urąbię, urąbię — rzekł cicho wychodząc ze stajni na podwórze.

Ale rąbać mu się nie chciało, stał przed nim wielki dom, mało, i samochód. A jakie maszyny! Niech tylko Wiesiek wróci, bieda nic Kobzdom nie zrobi, tyle będą mieli pieniędzy.

— Do kółka nie idziesz? — spytała Kobździna zaraz po byle jakim śniadaniu. — Ty nie wiesz, że ludzie już zamawiają kombajny? W tym roku mają kościć po kolei.

— Dobrze, dobrze — odrzekł, a ona dalej swoje:

— Wyborek już musi w maju się zapisać.

Przyzna się Kobzda, że ta kolejka tylko na niby, bo jak Wiesiek zostanie dyspozytorem, to rozpocznie żniwowanie na Wyborkowym polu? E, nie, najpierw skosi u Kobzdy, a potem... wiadomo, kto więcej wetknie mu do kieszeni, ten będzie miał pierwszeństwo.

Skoro żona nie daje spokoju, marudzi, Kobzda pójdzie do kółka i każe się wpisać na listę, chociaż to, wiadomo, zbytęczne, bo Wiesiek wróci i zrobi po swojemu. Najpierw zbierze zboże z pola ojca, dopiero potem wyśle kombajny do sąsiadów, i nie po kolei, lecz... Tyle razy Kobzda myślał o tym, a teraz musi ulec kobiecie. Niech tam, podda się, ale to ostatni raz.

I powlókł się przez las sosnowy do kółka. A tam kierownik nawet ręki nie wyciągnął do niego, jakby go wcale nie znał, kazał iść do biura. O, Kobzda to zapamięta. Żeby jego jak byle chłopą potraktować i od razu kazać iść do biura? Ale co ma robić, posłusznie wyciera buty przed drzwiami, zdejmuję czapkę z głowy, ociera rękawem marynarki nos i puka. Wchodzi. A tam, mój Boże, aż ciemno od dymu. Śmichy-chichy. On stoi przy drzwiach i czeka. Może minutę stoi, może pięć. Żadna paniusia nie odzywa się do niego. Tylko śmichy-chichy. Kobzda stoi, czeka, chrząka.

— Która zapisuje na kombajny?! — jak nie wrzaśnie.

Ani jedna nie spojrzała w jego stronę, jakby niczego nie słyszały, dopiero po dłuższej chwili któraś bąknęła:

— Z rana przyjmowałyśmy zapisy. Przyjdźcie, gospodarzu, jutro — doleciało go. I znowu śmichy-chichy.

— Jak, jutro?

— Jutro. Słyszeliście? Teraz mamy inne obowiązki. Bilans robimy.

Kobzda jeszcze nie wychodzi, włożył rękę do kieszeni, ale namacał tylko pięćdziesiąt złotych. Już miał je położyć na biurku przed paniusią, gdy pomyślał, że niedługo będzie tu zupełnie inaczej. Bo czy Wiesiek pozwoli na to, żeby chłopą na listę nie zapisać? Na pewno nagle wpadnie do biura, krzyknie ile

sił w gardle, a te paniusie będą siedziały jak myszy pod miotłą. I jak chłop przyjdzie, to one pierwsze dniem dobrym go pozdrowią, i bez ociągania się wpi-szą na listę, do drzwi odprowadzą, „do widzenia” po-wiedzą. Jeszcze tydzień, no może pięć dni, i zmieni się wszystko, na pewno się zmieni, bo Wiesiek, który będzie kółkowym dyspozytorem, weźmie je za łby. A nie spodoba się której, to won!

— Do widzenia — bąknął i pomyślał, że jutro rano musi przyjść jeszcze raz.

Zły wyszedł na wielkie podwórze. Od strony kuź-ni dolatywały go przekleństwa rzucane na kierownika. Wsluchiwał się w te głosy, łowił słowa, odsiewał prze-kleństwa od wyzwisk, jak dawniej odsiewał plewy od ziarna, bo teraz to tylko liczy worki na kombajnie, i nie wiedział, czy już wracać do domu, czy też jeszcze poczekać na kierownika. Wzruszywszy ramionami usiadł na ławce i czekał. Słońce to kryło się za welną chmur, to znowu prażyło niemiłosiernie. Pomyślał, że już niedługo Wiesiek będzie tu siedział, a wokół niego kolejka gospodarzy i każdy ze zwitkiem tysięcy zło-tych. Nie, nie musi nic robić, tylko brać te tysiące i kazać kombajniście jechać to tu, to tam. „A jak Wiesiek nie zechce? — przeleciało mu przez myśl. — Byłby głupi, gdyby nie chciał zgodzić się za dyspo-zytora. Toż za nic nie odpowiadałby. Maszyny się psu-ją, części wymiennych brakuje. A od czego kierow-nik?”

— Paliwa Kobzda nie potrzebuje? — przerwał je-go rozmyślanie umorusany traktorzysta. — Sześćdzie-siąt litrów po dwie dychy.

— Sześćdziesiąt litrów aż? Ho, ho, ho — syknął. — To tysiąc dwieście złotych?

— W państwowej stacji zapłaciłby Kobzda prawie dwa tysiące.

— Kradzione?

Traktorzysta uśmiechnął się chytrze i nic nie odrzekł, a on pomyślał, że na pewno kradzione, bo kto by taniej sprzedawał? I nie odzywając się wyjął z kieszeni tysiąc złotych.

— Mało.

— Tak, tak. Jak przywieziesz do mnie, dostaniesz resztę — rzekł patrząc traktorzyście prosto w oczy. — A kiedy przywieziesz? Wieczorem?

— Już jedziemy. Póki kierownika nie ma. — Sprawdził, czy rzeczywiście nikt ich nie obserwuje, ale w pobliżu było pusto, tylko kury kąpały się w piasku.

Kobzda wgramolił się na traktor i zajął miejsce na tylnym siedzeniu, a po drodze, choć nie było daleko, dowiedział się, że:

— Każdy kombinuje. Trzeba jakoś żyć, żeby wyjść na swoje. Za dmiówkę dostaję trzysta złotych, za paliwo tysiąc dwieście, można żyć? — spytał traktorzysta zadowolony ze siebie, czekając choćby na pochwałę.

Kobzda tylko kiwnął głową.

— Kierownik za głupi, żeby mnie złapał.

— A dyspozytor?

— Dyspozytor? Mają dać nowego. Myślicie, że długo pobędzie? Ja też byłem za dyspozytora, alem nie wyrabiał. Chłopi wrzeszczeli, kierownik za byle co opieprzał... E, co to za pieniądze? Teraz to wiem, że żyję. Najlepiej robić na traktorze, za nic się nie odpowiada, a żyje się jak u Pana Boga za piecem.

„To tak? Nie kłamiesz? Poczekaj. Wiesiek weźmie was za łby, przypilnuje, nie sprzedasz nikomu tego paliwa. Bo to Wiesiek nie ma oczu? Głupszy od ciebie?”

— Dawniej było inaczej. Poprzedni kierownik nie

wydał z magazynu żadnej nowej części, jak się starej nie zwróciło. Potrzebuje gospodarz pompę paliwową? Za dziesięć patyków oddam. Nowa kosztuje chyba piętnaście, a u mnie kupi gospodarz za... No...?

— Czemu nie. I wszystko u ciebie można dostać?

— Prawie wszystko — rzekł zadowolony. — Jakby gospodarz potrzebował opony albo jeszcze co innego, to tylko do mnie. Grosza mi potrzeba. Wyciągnąłem dom pod dach i stop, nie ma za co skończyć. A skończyć trzeba, póki okazja. Gadają, że mają kółko likwidować.

Kobzda wzruszył ramionami i już nic nie odpowiedział. Znowu przypomniawszy mu się Wiesiek, który za tydzień, najwyżej za pięć dni, wróci do Bramska. „Jeśli nie wróci? Kto by go tam trzymał i po co? Swoje odsłuży i hajda do domu, bo co, potrzebny im?”

Już w sieni spytał żonę, czy czasem jakich wiadomości od Wieska listonoszka nie przyniosła. Wcale się listu nie spodziewał, przecież niebawem syn wróci, ale pytał z przyzwyczajenia. Kobzdzina coś niezrozumiale pomamrotała, a on już nie powtórzył pytania. Nie mógł się doczekać powrotu syna, żadna robota nie trzymała się jego rąk. Usiadł w kuchni przy stole, zapalił papierosa, a żona do niego:

— Musi choryś?

Jak to w jego zwyczaju, obojętnie wzruszył ramionami, po pewnym czasie przyznał się:

— Na Wieska czekam. Umyśliłem sobie...

— To przepisz mu ziemię.

— Teraz? Po co? Przecieżem nie za stary. O, niech Wiesiek wróci, to pokażemy, jak się gospodarzy w Bramsku. — I rozmarzył się, ale zaraz zatrzymał myśli w domu, którego jeszcze nie ma, a który na pewno będzie. Pojadą do Zielonej Góry, poszukają najlepszego

architekta i zaprojektuje im taki murowaniec, jakiego w całym Bramsku nikt sobie nie wymarzył.

— Pewnie, przydałby się nowy dom. Wiesiek... — zamilkła i objęła wzrokiem nie ogoloną twarz męża, a po chwili i ona marzyła: — Ożeni się. Może już jaką ma?

Kobzda spojrział na żonę badawczo, ale zaraz roześmiał się. Bo on by nie wiedział?

— Wiesiek? Musi nie, coś by napisał.

— Jeśli ma? Wróci, zakręci się na pięcie, powie, żeby dać mu pieniędzy, bo się żeni, i tyle będziesz go oglądał.

— Tego nie robi. Toż wiadomo, dla kogo szykuje gospodarkę. O, porobi troszkę w kółku, pieniędzy naskłada, mnie pomoże, a potem rzuci to w diabły. Nie dla niego państwowa robota. Co takiemu bieda robi? — spytał zadowolony ze siebie. — Już ja go za dobrze znam — dodał po namyśle.

Do żniw żytnich zostało kilka dni. Słońce prażyło bezlitośnie, ludzie wyglądali deszczu, bo kartofle w polu schną, buraki więdną. Czekali na deszcz i nie chcieli go. Gdyby padało jak w kwietniu czy maju, ale teraz deszcz burzowy, a jeśli burza, to i pioruny, i gradobicie, i pożary. Bo to nie było tak, że stodoły się zapalały, zboże na pniu w okamgnieniu ginęło? To też gospodarze nie wyjeżdżali z Bramska daleko, najwyżej do Sulechowa, siedzieli przed domami na wąskich ławkach, gawędzili, ale co rusz któryś zrywał się i wzrokiem omiatał stodoły. Kobzda także spoglądał to na pole kłosami miedzianymi odaszone, to na stogi siana rozsiadłe tuż za ogrodami, między jednym a drugim sprawdzeniem wychodził przed dom i długo wpatrywał się w tunel ocienionej lipami drogi.

— Wieśka wyglądacie, Kobzda? — spytał Wyborek, rad, że jego Stacha jeszcze nie wzięli do wojska.

— E, nie.

— Toż widać, że Wieska patrzycie. Przyjedzie, przyjedzie — pocieszał sąsiad.

— No i... do kółka? Za dyspozytora? A ja by swojego nie dawał na państwową robotę — rzekł Pałewicz.

— Wasz ani do państwowej, ani do domowej — rzucił Wyborek śmiejąc się, a i inni wyszczerzyli zęby.

Tylko Kobzda nie śmieje się, on myśli, że Wiesiek też nigdy nie miał ochoty orać, siał czy poić konie, co innego było mu w głowie. Ale teraz to chyba zmadrał i nie machnie ręką na ojcowiznę, którą on mu kiedyś zostawi. A ta robota w kółku tylko do czasu, rok-dwa, bo potem Wiesiek się ożeni, Kobzda przepiśze mu ziemię i zostanie pomocnikiem syna. Lecz nim to nastąpi, syn musi przyłożyć swoją rękę do gospodarstwa. Jak, jeśli nie przy pomocy kółkowych maszyn i ludzkich złotych.

Wpatrzył się w swoje dłonie: palce pokurczone, spękane jak badyle, ale jeszcze mocno chwytają cepigi pługa. Starzeje się w okamgnieniu, z każdym dniem jest coraz bardziej wygięty w kabłąk, chodzi jak Żuczycha. I siły już nie te, co dawniej, chociaż nie podaje się, bo wstyd przed wsią. A jak Wiesiek wróci, we dwóch zapręgą się do roboty i co im kto wtedy zrobi? Wyborka prześcigną, Kwartę będą omijali z daleka... Ale znowu Kobzda czuje swoje lata, chowa się w cieniu lipy, bo słońce parzy bez litości. Siedząc w kucki pod dziurawym dachem szopy marzy: najpierw trzeba wystawić dom, potem... Potem oborę i stodołę. No i traktor kupić, i maszynę szerokomłotną. To dom będzie stał pusty? I już Kobzda wie, że najpierw kupi meble. A te meble muszą być nowoczesne, na wysoki połysk, jakich jeszcze nikt nie ma w Bram-

sku. Czegoś mu żal, jeszcze nie wie czego, może lat straconych w stąpieniu za pługiem, może miesięcy oczekiwania na powrót syna, może tego, co będzie, co sobie wymarzył?

— A jeśli on nie wróci? spytał nie wiadomo który raz sam siebie i sam sobie odpowiedział: — Czemu ma nie wrócić? Dokąd pójdzie? Tu jego miejsce. — I zachłannym wzrokiem objął całe wielkie podwórze, które od kilku dni wydawało mu się jeszcze większe niż było w rzeczywistości. — Niechby wrócił.

W oczekiwaniu na powrót syna dni się Kobździe bardzo dłużyły, podnosił głowę, słońce jakby stało w miejscu, skamieniało nad lasem, a on pragnął, by już było za rzeką, by zapadał zmrok. Ani jeść, ani drewna urąbać mu się nie chciało. Szedł do stajni, wyrzucał gnój, i co usłyszy jakieś rozmowy na drodze, wybiega, lecz to nie Wiesiek, inni radośnie wracają.

Chodzi po podwórzu, to tu zajrzy, to tam, a myślami celuje w Wieśka. Hanki nawet nie dostrzega, chociaż ona jest, doi krowy, karmi świnię, czasem coś mówi do niego. Kiedyś pomyślał, że spotka na swoim podwórzu kawalera, który nieśmiało spyta, czy odda mu Hankę za żonę. Pewnie że odda, nawet nie spyta, czy nie skrzywdzi jego córki, bo co mu tam, Hanka wyfrunie z domu. A dokąd? O to się Kobzda wcale nie martwi, daje tyle, ile się należy i koniec twojego, rób u siebie.

— Hanuś, o kawalerze czasem myślisz? — zniechęca spytał ojciec, a ona już się czerwieni i błędnym wzrokiem omiata kąty. — Toż idzie twój czas. Przy nas zawsze nie będziesz. Swoje lata masz. Majątku trochę ci dam, to i chyba wielka pora...

— Jeszcze na nią czas. Osiemnaście lat dopiero — mówi Kobździna, a jemu się wydaje, że żona kłamie, bo Hanka miałaby dopiero osiemnaście lat? Liczy

w myślach, ale zaraz przestaje dodawać lata. W grudniu dopiero osiemnaście, za pół roku; Kobzda chciałby, żeby już dzisiaj była pełnoletnia. I patrzy na córkę: piersi pełne, w pasie wcięta akuratnie, ręce silne. Może rodzić dzieci. A jakby się ten jej chłop, nie daj Panie Boże, upijał czy majątek marnotrawił, to co, nie da mu rady?

— Kawalera musi masz jakiego? — pyta, chociaż wie, że zięcia długo nie ujrzy.

— Gdzie ona miała tego kawalera szukać? O, wróci Wiesiek, to zaprowadzi ją na zabawę do pałacu. Może i ona znajdzie swojego?

Kobzda myśli, że tym razem żona ma rację. Bo jak Hanka sama pójdzie do pałacu? Jawdosia ona? Wstyd. Z Wieśkiem co innego. To on weźmie go na stronę i powie, żeby poszukał takiego kawalera, który albo obcy, albo bogaty, a najlepiej żeby był jedynakiem. I chytrymi myślami wędruje od domu do domu, ale nigdzie nie spotyka akuratnego kawalera, a jak już znajdzie, to pijak albo darmozjad. Za takiego Hanka nie wyda, choćby miała zostać starą panną. Myśli nadal, że wesele musi sprawić szybko, jeszcze tego roku, najlepiej w Boże Narodzenie. Ale zaraz wątpi, bo jeśli któryś kawaler zechce Hankę, ale nie będzie jedynakiem i powie, że orać i siać mu pilno, i spyta, czy mógłby z Hanką osiąść w Kobzdowym gospodarstwie? „O, nie dla ciebie, zięciu kochany, ono. Wieśkowi obiecywałem. Jegom naznaczył i jegom wybrał. Bierz Hankę, krowę, świnie, pieniądze i szykuj kąpiel dla was obojga.” Tak mu powie i doda, że po ojcu ziemię przejmuje syn. I spyta: „A u ciebie, u twojego ojca kto zostaje?” A jak tamten odpowie, że nie on, lecz najstarszy? Co wtedy Kobzda zrobi? Przecież nie wypędzi Hanka, bo wstyd. Podniósł głowę, wziął córkę w badawcze kleszcze wzroku i naraz żal mu się jej

zrobiło. Przecież to takie samo dziecko jak Wiesiek. Po chwili namysłu rzekł:

— Siedzisz tak i siedzisz... — urwał, bo to, co sobie umyślił, wydawało mu się takie proste, że ona sama powinna odczytać z jego twarzy. — W kółku potrzebują... w biurze...

— Hanka nie do biura — wtrąciła Kobździna. — I wstyd żeby gospodarska córka gmerała w papierach. A co to, wyganiaasz ją z domu? Zawadza ci?

— Mnie? — udawał zdziwonego. — Tak sobie myślę, że Wiesiek miałby w niej pomocnika. — I opowiedział żonie to, co spostrzegł w biurze. — Siostra brata nie oszuka — dodał bez namysłu.

— Żeby trafił się jaki dobry gospodarz, o, miałby gospodynię. — I Kobździna buch chytrymi ślepiami do Hanki, a ona jeszcze czerwieńsza. — No... za Wyborowego Stacha...

— Nauczyciel — prawie krzyknął Kobzda. Ale zaraz pomyślał, że Stach bogaty i w dużym mieście. — Za stary dla niej. Ja mam kawalera — powiedział zagadkowo. Kobździna otworzyła usta, Hanka podniosła głowę. — Tylko...

— Może Stacha Kopfla?

„Skąd ona wie? Czy kiedyś nie wygadałem się? Bom to nie napomykał?”

Ni z tego, ni z owego na dworze zrobiło się ciemno. Ciężkie chmury, nisko zawieszone, prawie zahaczając o dachy stodół, wolno przesuwwały się w stronę łąk nadobrzezańskich. Burza była tuż-tuż. Nareszcie długo wyczekiwany deszcz. Naraz błysnęło fioletem, potem jeszcze raz, i po chwili pioruny zaczęły walić w topole za ogrodem, błyskało się raz za razem, a oni nic nie mówiąc do siebie prosili Boga, żeby te błyski i grzmoty ustąpiły. Deszcz potrzebny, wielki, choćby tygodniowy deszcz. Wiadomo, po takiej suszy pierwszy

deszcz niewiele zmieni, kartoflom, którym najbardziej jest potrzebny, prawie nie pomoże, a ile szkód narobi.

Sen zmorzył Kobzdę, nagły i mocny. Położył się na kozetce w ubraniu, w butach, w czapce i od razu zasnął. Śniło mu się, że Wiesiek już wrócił. Było tak, jak to sobie Kobzda wyobrażał; najpierw syn rwąc myśli długo opowiadał, a ojciec w milczącym zaciekawieniu, paląc paierosa za papierosem, słuchał, ale gdy syn powiedział, że pofrunie przez życie jak ptaki przez powietrze, stary otrząsnął się z zamyślenia i poprosił go o wyjaśnienie tego, co usłyszał. Wiesiek zagadkowo się uśmiechnął i jeszcze raz powtórzył: „Jak ptaki przez powietrze”. I to było najgorsze, bo Kobzda zrozumiał, że Wiesiek jest ptakiem, którego ani zatrzymać, ani schwytać w rozcapierzone palce, gdzie usiądzie, tam jego gniazdo. A potem długo jeszcze rozmawiali, ale żaden nie napomknął o przyszłości, jakby ona już nie istniała. „Jak ptaki przez powietrze” — powtórzył Kobzda budząc się.

Jasna noc wokół. Kobzda leży na kozetce i słucha, słyszy męski głos. „Kto to może być? Wyborek? Może kierownik kółka?” — zastanawiał się chwilę i jak nie krzyknie:

— Wiesiek?!

— Czego ty? Wiesiek wrócił.

On jeszcze nie wierzy, jeszcze nasłuchuje, a gdy jest przekonany, że to na pewno syn, bo głos zapamiętał, staje przed nim Wiesiek, a Kobza nie wie, czy ma już teraz powiedzieć mu to, co sobie umyślił, czy też poczekać do jutra.

— Zmężniałeś — mówi prowadząc syna do kuchni.

— I jakby wyższy — dodaje Kobzdzina zadowolona.

— E, wyższy to nie. — Ale widzi, że syn patrzy

na niego z góry, więc na pewno urósł. — Kiedyś przyjechał?

— Tylkoś się położył, w największy deszcz przyniosło go — pospiesznie tłumaczy Kobzdzina. — Jużem jeść mu dała. Tobie też coś usmażyć?

Kobzda wyjmując z kredensu wódkę, woła o kieliszki, nalewa, ale cały czas nie zdejmując wzroku z Wieśka, mierzy go i myśli, jak zacząć rozmowę. No, najpierw syn musi zdać relację, dopiero potem ojciec powie, że czekają na Wieśka w kółku. „Na dom musisz zarobić. Bo jak się ożenisz, to gdzie będziesz mieszkał? Ma się rozumieć, że ojcowizna twoja. Hankę wydam...”

— Wypijmy — mówi ojciec i podsuwa kieliszek w stronę syna. — Opowiadaj.

— O czym? Odsłużyłem i... Hanuś jeszcze nie wyszła za mąż? Na taką gospodarkę żaden nie leci?

— Gospodarka twoja — tłumaczy ojciec. — Co Hance mam dać, dam, ale ziemia, stodoła, wszystko będzie twoje.

— Moje? Po co ono mnie?

— No... — Patrzy na syna badawczo. Kobzdzina milczy. Tylko Hanka podniosła głowę wysoko i się śmieje. — A tobie co tak wesoło?

— Ojciec, do kopalni jadę — nieśmiało rzuca syn szukając wsparcia to w matce, to w siostrze.

— Do...?

— Za górnika.

— Za...?

— Namawiali, tom się zapisał.

— Namawiali...?

— Pół mojej kompanii jedzie na Śląsk.

— Dużo.

— Dają mieszkanie i pensję, o jakiej ojciec nie ma pojęcia, prędzej na emeryturę.

— Acha, acha — uśmiecha się stary z wysiłkiem.
— Wypijemy.

Pełen najbardziej gorzkiego zawodu Kobzda nacisnął czapkę na głowę i wyszedł na podwórze. Nad sobą miał mak gwiazd rozspanych w atramencie nieba. Blaszka księżycy, niby wyszorowana gliną, jasno błyszczała. Powietrze pachniało zbożem, było rześkie i wonne. A on siedł i siedł, gdy zatrzymał się, stwierdził, że wokół wilgotna łąka. Nad jego głową przeleciał jakiś ptak, a potem kilka ptaków, i jeszcze kilka.

— Ojciec! Ojcieeeec! — pędziło za nim wołanie syna.

Coraz szybciej wchodził w łąkę, przed nim była już tylko Obra po obu stronach opięta łozinami. Usiadł pod krzakiem na mokrej trawie i myślał: „Mieszkanie, pensja i emerytura. Pół kompanii. Do kopalni.”

— Ojcieeeec!

— Jak ptaki przez powietrze — powiedział sam do siebie i uniósł głowę wysoko, a nad nim rozbrzmiewał śpiew ptaków nocnych.

1983



SPIS OPOWIADAŃ

Przeklęte wykopki	5
Papierek	27
Spadkobiercy	42
Postanowienie	52
Sekwestrator	61
Powrót	68
Taka ludzka ciekawość	88
Jak ptaki przez powietrze	109

Redaktor JAN KOŁODZIEJ

Wydawca
LUBUSKIE TOWARZYSTWO KULTURY
ZIELONA GÓRA

Wydanie I. Nakład 3.000 egz. Ark. wyd. 6,0. Ark. druk. 8,0. Oddano
do składu w styczniu 1986 r. Druk ukończono w listopadzie 1986 r.
CENA ZŁ 150,—

Druk: Zielonogórskie Zakłady Graficzne, zam. 1004 — S-19/108

— No, naczelnik Gnida, przepraszam, towarzyszu Gnidowski. Musisz wiedzieć, że zmienił nazwisko. Gnidowski brzmi poważniej i po polsku — pouczył mnie Wańka. — Towarzyszu Gnidowski w zeszłym roku zaoferował zrobić inżyniera magistra od rolnictwa.

— Od rolnictwa?! — znowu się zdziwiłem. Ileż niespodzianek spotyka mnie w porzuconej rodzinnej gminie! Wańka jakby spodziewał się tego.

— Urząd Gminy dostał jedno miejsce na studia rolnicze bez egzaminu. Sulechów otrzymał skierowanie na akademię plastyczną. Wolsztyn na śpiew estradowy, a my najlepsze — na rolnictwo i w dodatku bez egzaminu. Sekretarz Kaemu, Stacho Kopfla, nie poradziłby sobie, dużą maturę robił na wieczorówce, kierowniczką domu handlowego akurat miała małe dziecko, z Szelmochem, ale to tajemnica — ściszył głos — ja jeszcze kopałem w „Zielonych”, to kto miał studiować? Namawiałem Susan, myślałem o swojej starej. W końcu na poszerzonej egzekutywie uradziliśmy, że naczelnik musi wykorzystać okazję. Oddamy miejsce bez walki, to na drugi rok wykreślą nas z listy, nie?